
V
B
I
C



Maurycy Hartman.

Djamenty Baronowej

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH.

TOM I.

GRÓDEK.
NAKŁADEM I DRUKIEM J. CZAIŃSKIEGO.
1899.

I

Wyjazd.

Wśród długiego szeregu ładnych letnich mieszkań z ogrodami i ogródkami, które się rozciągają na południu od wielkiej stolicy na kilka mil nieprzerwanym szeregiem, jechał w dosyć eleganckim wynajętym powozie bez numeru, przeszło 20-letni młodzieniec, który wprawnemu oku musiał się wydawać obcym przybyszem w tych stronach. Wprawdzie jego ubiór był bardzo elegancki, ale też zanadto elegancki i wyszukany na porę przedobjadową. Wodził on okiem z ciekawością i zdziwieniem po pięknych willach naokoło, zatrzymując niekiedy wzrok z przyjemnością na grupach szczęśliwych osób, przechadzających się po zieleniejących się ogrodach. Piękny, łagodny majowy poranek sprzyjał swobodnej przejażdżce po wilegiaturze, która atoli prawdopodobnie nie była właściwym celem młodego podróżnego, gdyż w jego zachowaniu się widać było zanadto wiele niespokojności. Raz pytał woźnicę, czyby willa barona Fryzena była jeszcze znacznie odległą, innym razem przyglądał się swemu ubiorowi, albo zapomniawszy całkowicie o pięknem otoczeniu opierał się w tył o poduszki powozu, zakładał ręce i spuszczał głowę, jak gdyby się był zastanawiał nad

czemś bardzo ważnem. Wówczas długie rzęsy zakrywały mu ciemne ogniste oczy, które się niejednej mieszkance w przydrożnych letnich domkach spodobały. Lecz nie dręczyły go bynajmniej zbyt poważne myśli, gdyż około czerstwych czerwonych ust igrał często uśmiech swobody. Mimowolnie wyjął młodzieniec z kieszeni portmonetkę, chcąc obliczyć swój majątek. „Zostało mi jeszcze tylko 5 reńskich, szepnął, to bardzo skąpe resztki! Zrujnowały mnie lakiery i nowe rękawiczki!“ Rzekłszy to schował napowrót do kieszeni portmonetkę, zdjął z rąk czarne rękawiczki, a zaczął wdziewać jasno-orzechowe. Z upodobaniem przyglądał się potem obu rękom i szepnął znowu: „Powiedziawszy między nami, mam na sobie po raz pierwszy w życiu tak wytworne rękawiczki, tak piękną krawatkę i tak lśniące kamaszki: lecz pani baronowa nie powinna tego po mnie poznać. Żenują mnie jedynie te moje niegodziwe czerwone policzki, jakich jeszcze w stolicy nie widziałem.

Po tych słowach stanął powóz przed wysoką bramą willi, która wielkością i przepychem przewyższała wszystkie dotychczas przez Alfreda widziane letnie mieszkania. Stała ona pośród białym piaskiem wysypanego dziedzińca, posiadała wielkie okna w stylu romańskim, tudzież rodzaj na trzech filarach spoczywającego przedsionka, przez którego całkiem otwartą tylną część było widać piękny park, z różnorodnemi drzewami i krzakami, zielonemi trawnikami i basenami, po których wodzie pływały powolne białe łabędzie. Do głównego zabudowania przypierały nieco niższe pawilony z balkonami

i schodami, które były obstawione mnóstwem kwiatów. Naokoło całego domu panowała głęboka cisza, z którą harmonizowały uwidocznione tam napisy, mówiące o szczęściu w samotności.

Dziwiąc się sobie samemu, iż otoczenie raczej przyjazne aniżeli zaniepokajające wrażenie na nim wywarło, wyskoczył młodzieniec z powozu i zdążał do głównych drzwi willi ze spokojem, jaki sobie w duchu obiecał zachować w toku całej sprawy, która go tutaj sprowadziła.

Na jego spotkanie wyszedł lokaj w bogatej liberji. Młodzieniec wręczył mu list i rzekł:

— Proszę oddać to pismo pani baronowej i zapytać, czy jego oddawca pan Alfred Lindau może mieć zaszczyt złożenia jej uszanowania.

Lokaj pobiegł schodami na górę i zniknął w pokojach. Alfred nie wątpiąc iż natychmiast zostanie przyjętym, udał się za nim aż do przedpokoju na pierwszem piętrze. Dopiero tutaj wpadło mu na myśl że się właściwie znajdował w dość krytycznem położeniu. List polecający, który kazał doręczyć baronowej, był nie do niej, lecz do jej męża adresowany. Przyjaciele w stolicy. którzy dobrze znali rodzinę i stosunki Fryzenów, doradzali mu, aby się był dostał do ich domu za pośrednictwem bardzo uprzejmej baronowej z pominięciem jej dumnego męża. Dlatego to właśnie nie szczędził Alfred wydatków na nowe ubranie i powóz i odwiedzał baronowę w letniem mieszkaniu, chociaż mógł się był widzieć bez kosztów z baronem, który w ciągu tego dnia znajdował się w mieście. Wspomniany list

pochodził od serdecznego przyjaciela Fryzenów z prowincjonalnego miasta, to też Alfred sądził, że baronowa nie będzie się ściśle trzymała adresu, a nadto mówiło mu doświadczenie, że u płci pięknej znajdował zawsze więcej powodzenia. To przekonanie, chociaż trąciło nieco próżnością, było całkowicie uzasadnione i słuszne. Alfred był bardzo urodziwym młodzieńcem. Wiedział on o tem dobrze, lecz posiadał na tyle rozumu, iż tego po sobie nie pokazywał, tak, iż mógł uchodzić za dosyć naiwnego.

Oparłszy czoło o okno, przypatrywał się on krzakom kwiatów, które na etażerkach podnosiły się od poziomu dziedzińca aż do okien pierwszego piątra, i pomarańczowym drzewkom, które od środka dziedzińca półkolem wiodły do przedsionka, wyłożonego marmurem, tudzież jodłom, które, będąc częścią gaiku wystercząły ponad dach prawego pawilonu. Jednemi schodami zbiegła na dół ułaskawiona sarna, ścigana przez ślicznego chłopczyka. Mimowolnie przypomniał sobie Alfred ubogą rodzinną wioskę i ludzi, którzy w niej spędzali życie wśród twardej pracy i znoju. Zdawało się mu, jakoby oni byli zupełnie odmiennemi stworzeniami aniżeli mieszkańcy szczęśliwej willi, że było rzeczą nierozsądną wdzieranie się z owego pomrokiem owianego świata w ten świat jasny i szczęśliwy. Wszystkie ambitne plany, odnoszące się do niepewnej przeszłości w stolicy wydawały się mu teraz chybionemi i marnemi. Ścisnął pięść, a na jego ustach zaigrał gorżki uśmiech.

— Ah! pomyślał sobie, jak te żelazne kraty otaczają willę, tak samo otaczają nieprzebyte zapory ten błysz-

czący arystokratyczny świat, pełen rozkoszy i uciech!

Tutaj powrócił lokaj z otrzymanym od Alfreda listem i oznajmił mu, iż pani baronowa nie otwiera nigdy listów, adresowanych do jej małżonka.

Alfred odszedł; lecz tylko z przykrością porzucał ten piękny świat i nadzieje, jakie pokładał w powszechnie wychwalonej baronowej. Powolnym krokiem szedł przez dziedziniec, zatrzymując się czasami przy jednym lub drugim kwiecie, albo też odczytując pełne znaczenia napisy o złoconych, nieco zwietrzałych literach, które się tam w różnych miejscach znajdowały. Odczytywał właśnie napis: „Solitudo est mater optimorum consiliorum! (Samowolność jest matką najlepszych postanowień)“, gdy zauważył, że się poruszyła zasłona z jednego okna i że się mu przypatrywała jakaś dama. Niczego więcej atoli nie widział, albowiem skoro zwrócił oczy ku oknu, spadła na dół zasłona. Zaczął więc wracać ku powozowi, lecz za nim pobiegł lokaj i prosił go, aby się udał do willi, gdyż pani baronowa zmieniła pierwotne postanowienie, a list pochodził od zbyt ścisłego przyjaciela, aby go nie miała była przeczytać.

Alfred uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy go służący wprowadził do salonu, gdzie oczekiwał przybycia baronowej, która się dopiero ubierała. Niebawem atoli zamyślił się znowu głęboko.

— Głupcze! mówił sobie w duchu, możesz się na chwilę spodobać jej zdaleka, póki cię będzie uważała za niezawisłego, od przyjaciela poleconego człowieka; skoro się atoli dowie z listu, że jesteś tylko biedakiem, przybywającym do stolicy w celu zapewnienia sobie

szczęścia, nieszczęśliwą jednostką, która musi rozpoczynać karjerę bakałarstwem, wtedy to dopiero będzie cię ona traktowała z dumną wyniosłością jakby którego z wyższych służących bez liberji.

Alfred usiadł na krześle z poręczami, zmarszczył piękne, wysokie czoło i rozmyślał z goryczą nad różnicą stanów i niesprawiedliwym podziale szczęścia. Najwięcej bolało go to, iż nikt po nim nie poznawał, jak dalece był zdecydowanym i zdolnym do ominięcia wszelkich towarzyskich przesądów i dostania się do wielkiego celu po nadzwyczaj szybkiem przebieżeniu świetnej karjery. Przyznawał się w duchu do tego, że teraz stał z prośbą u drzwi bogactwa, i czuł się bardzo upokorzonym. Spuścił więc w smutku głowę na piersi i wyobrażał sobie, że był bardzo nieszczęśliwy, gdy w pobocznym pokoju usłyszał szeleszczącą jedwabną suknię, a po chwili stanęła przed nim baronowa Matylda.

Alfred zerwał się szybko z krzesła, potarł ręką po czole, odgarnął w tył bujne włosy i skłonił się mimo zarumienienia i zakłopotania niezbyt nisko przed piękną i powabną kobietą. Baronowa powitała go uprzejmie, kazała mu usiąść przy sobie na sofie i poprosiła go o list od przyjaciela. Gdy ona pismo odczytywała, Alfred doznawał różnorodnych uczuć: było mu przyjemnie siedzieć na sofie obok kobiety, która w każdym ruchu i w całym stroju zdradzała wrodzony wdzięk, swobodę, ale i skromność. Wiedział on także, iż cały list, który ona czytała, pełen był pochwał dla jego osoby, albowiem w prowincjonalnem mieście, z którego przybywał,

mimo młodości uchodził za człowieka pełnego najpiękniejszych nadziei, który kiedyś miał dostąpić sławy i dostojeństw. Poznał korzystne wrażenie, jakie wywarły te pochwały na baronowej, która wśród czytania na niego niekiedy badawczo spoglądała. Lękał się atoli i myślał ze wstydem o tym ustępie w liście, który go przedstawiał jako początkującego, do usług gotowego i zapłaty wyczekującego guwernera. Z pewną trwogą spoczywał jego wzrok na jej twarzy w oczekiwaniu chwili, w którejby się wyraz życzliwości i szacunku, jaki się na niej malował, zamienił w arystokratyczną dumę, w której ona żałowała że go do siebie jakby jakiego równego stanowiskiem na sofę zaprosiła. Atoli im dłużej przyglądał się jej twarzy, tem więcej znikały z jego duszy dręczące skrupły, bo ta twarz tchnęła słodyczą i miłością. Blada i mniej pełna zdawała się być stworzoną do przyjmowania najdelikatniejszych wrażeń, niezdolną do uwydatnienia minę surowości lub uczucia przeciwnego życzliwości, była to niezaczepna twarz i pobożna! Stwierdzały to jej modre oczy, ocienione długiemi ciemnemi rzęsami. Jej krucze włosy, spływające na ramiona bujnemi sploty, nie harmonizowały jedynie z nadzwyczajną słodyczą i łagodnością oblicza. Człowiek doświadczony byłby także poznał, że na tej twarzy, ponad temi oczyma coś takiego drzymało, co się dotychczas tylko wskutek ślepego przypadku nie obudziło. Jużci nad tem wszystkiem nie rozmyślał taki Alfred i to jeszcze w swem chwilowem usposobieniu; jego uwagę ściągały na siebie: ciemnoniebieska jedwabna suknia z drobnemi złotemi guzicz-

kami u rękawów, drobna nóżka w czarno-jedwabnym trzewiczku, wyglądająca z pod sukni, w ogóle prostota obok wytwornego gustu i elegancji, jaką się odznaczała osoba baronowej.

— To jest prawdziwa dama! pomyślał sobie w duchu młodzieniec, zaiste, musi to być osobliwsza roskosz, gdy się taką kobietę w szeleszczącym jedwabiu przygarnie w objęcia, roskosz, o wiele słodsza aniżeli gdy się ściska jaką, choćby piękną biedaczkę w milczącej podajnej bawełnie!

Te niedorzeczne myśli wybiła mu z głowy baronowa, która składając list, tak do niego grzecznie przemówiła:

— A to się dobrze nadaje: nasz przyjaciel pisze nam, że pan zamyślasz przyjąć miejsce guwernera, my zaś oglądamy się od kilku miesięcy za osobą, którejbyśmy mogli powierzyć nasze dzieci. Według tego, co nam przyjaciel pisze o panu, byłabym bardzo szczęśliwą, gdybyś się pan mógł zdecydować do podzielania ze mną w naszym domu obowiązków względem moich dzieci, których pełnienie z każdym dniem trudniejszem się mi staje.

Alfred skłonił się baronowej z zarumienieniem. Jakkolwiek jej propozycja była dla niego bardzo pożądaną, pomyślał sobie przecież w duchu, że się podobnym ludziom, dumnym bogaczom tak łatwo oddawać nie należy, iż wypada udawać, jakoby się czyniło wybór, a przyjęcie obowiązków zawisłem od warunków, jużci czysto moralnych i nie mających na celu własnej korzyści. Odpowiedział więc z uśmiechem, ale i z namysłem:

— Propozycja pani baronowej jest dla mnie bardzo

zaszczytną; lecz chybiłbym, gdybym przyjmował na siebie obowiązki, do których pełnienia nie żywiłbym w duszy żadnej sympatji. Jestem przekonany, że pani jesteś matką jak najmilszych dzieci i mimoto pragnąłbym je pierwej zobaczyć, zanim mógłbym dać stanowczą odpowiedź.

Baronowa uważała tę odpowiedź za całkiem naturalną i ucieszyła się nią. Udała się tedy do pobocznego pokoju, a po chwili powróciła z dwojgiem synów. Byli to ładni młodzieniaszkowie od 7—8 lat, których mu ona z uśmiechem i pewną dumą przedstawiła. Gdy tak stała pomiędzy swemi dziećmi, zdawała się mu być podwójnie piękną: dla jego poczciwej duszy, matka była większą świętością niżeli kobieta. Poczuł, że znikła przegroda pomiędzy nim a baronową i dlatego wyrzekł się stanowczego tonu, w jakim postanowił przemawiać do tego wytwornego świata. Nachyliwszy się ku dzieciom spojrzał obiecująco na matkę, której to bardzo pochlebiło, iż sam widok jej dzieci wystarczył do pozyskania sobie Alfreda.

Kiedy przyszły nauczyciel pomówił chwilkę życzliwie z dziećmi, odprawiła je znowu baronowa z upomnieniem, aby się przysposobiły do wyjazdu na spacer i zaprosiły pannę Gabrjelę. Chłopcy odeszli, rzuciwszy pierwej badawcze spojrzenie na mężczyznę, pod którego nadzorem odtąd żyć mieli; zdawało się, że powzięli do Alfreda zaufanie tak, iż baronowa, oceniająca ludzi według wrażenia, jakie oni na jej dzieciach wywierali, z uśmiechem do Lindaua rzekła:

— Spodziewam się, że pan i moje dzieci staniecie się wkrótce dobrymi przyjaciółmi. Radabym pana jak

najrychlej przedstawić mężowi i dlatego proszę pana, jeśli nie zachodzą jakie przeszkody, zatrzymać się u nas do pory objadowej. W sąsiednim pokoju znajdziesz pan mały zbiór książek i możesz sobie pan wybrać coś stosownego do czytania i przejść się po parku; a ja z dziećmi wyjadę tylko na chwilę odwiedzić jednych i drugich znajomych.

Swobodne i uprzejme zachowanie się baronowej, a jeszcze bardziej szybki postęp osobistej sprawy napełniły Alfreda wielką pewnością siebie. Zaczął tedy z taką swobodą pogadankę o dzieciach, wychowaniu, o pierwszych wrażeniach w stolicy, pięknej willi i o mnóstwie innych przedmiotów, iż się dziwił sam sobie. Zapewne zauważył czytelnik, że młodzieniec zastanawiał się sam nad sobą, nie spuszczając przytem z oka wrażenia, jakie na drugich wywierał. Lecz tym razem omylił się: był on przekonany, że baronowa, ta w jego oczach doświadczona dama światowa, oceniała jego osobę, jego ducha i charakter, dlatego też stósował do tego swe słowa pomimo wewnętrznego wzruszenia, a przecież Matylda posiadała zupełnie inną naturę. Nie badała ona, nie wypytywała, nie myślała o sądzeniu drugich. Oceniała ludzi według ich powierzchowności i zachowania się; o Alfredzie miała sobie dopiero wtedy sąd wyrobić, gdyby o nim jej mąż wypowiedział swe zdanie, jakkolwiek już uczyniła ten nierozważny krok, iż poniekąd młodego guwernera na stałe zaangażowała. Dzieci pojawiły się znowu, a z nimi młoda blisko 20-letnia panna, która przyniosła dla baronowej kapelusz i szal. Matylda przedstawiła nieznajomego młodzieńca

swej przyjaciółce pannie Gabrjeli de Chaumont. Panna Gabrjela skłoniła się lekko i spojrzała badawczo na Alfreda. Alfred popadł w zakłopotanie, doznał uczucia niezbyt przyjemnego, którego nie złagodziła bynajmniej wybitna piękność młodej damy, jakkolwiek musiał w duchu przyznać, iż jeszcze nigdy w życiu nie widział tak regularnych, skończonych i wspaniałych kształtów. Wprawdzie w chwili, w której z wielką usłużnością owijała baronowej szal około szyi, mogła była uchodzić Gabrjela za osobę zajmującą podrzędniejsze stanowisko w świecie aniżeli Alfred, a przecież okazywała większą dumę i chęć panowania aniżeli dama, której usługiwała. Dlatego też doznał Alfred w duszy ulgi, gdy go baronowa pożegnała uprzejmem słowem: „Do widzenia!“ gdy się Gabrjela powtórnie w milczeniu skłoniła a dzieci mu jakby dawnemu znajomemu rękę podały, i całe towarzystwo z pokoju wyszło. W kilka chwil później usłyszał Alfred turkot wyjeżdżającego z dziedzińca powozu. Teraz zdawało się mu, jak gdyby mu pozostawiono do nieograniczonej dyspozycji cały wspaniały pałac ze służbą i parkiem. Dosyć głośnym krokiem przeszedł Alfred długi szereg pokoi, spojrzał pobieżnie na ubogą bibljotekę i obrazy miernej wartości, zatrzymując się prawie z opanowaniem przy trwałych i przepysznych meblach, które licowały jedynie z wspaniałością całego pałacu. Nie wiedział on, że baron Fryzen kupił tę willę wraz z umeblowaniem od sędziwego, wsławionego znakomitym gustem a podówczas zrujnowanego księcia L., który jedynie swe obrazy i bibljotekę z majątkowej ruiny ocalił. Wszystko inne przekazał on za bezcen na

barona wyniesionemu bankierowi. W środkowej sali o wielkich oknach w stylu romańskim, które wychodziły na park, spostrzegł Alfred wielki portret w złoconych ramach, na których umieszczona była hrabska korona. Ten portret przedstawiał polskiego szlachcica w narodowym stroju, pod nazwiskiem zaś Aurelego hrabi Kamińskiego można było tam wyczytać te słowa: „*W oznakę wdzięczności drogiemu przyjacielowi baronowi Fryzenowi*“. Alfred patrzał się długo w wymowne, uśmiechnięte oczy na portrecie, które się zdawały spoglądać na niego życzliwie, lecz nagle przypomniał sobie z przestrachem, że u bramy czekał jeszcze ciągle na niego wynajęty powóz. Chcąc tedy zachować na wszelki wypadek nieco pieniędzy, wziął kapelusz, zbiegł na dół, wypłacił woźnicy prawie całą resztę swego majątku i odprawił go. Następnie udał się do parku.

Głęboka cisza, która w nim panowała, sprawiła mu pewną ulgę po poprzednich kilkugodzinnych wzruszeniach. Łabędzie szybowały po powierzchni wód w obszernych basenach, wodotryski tylko szemrały, w powietrzu brzęczało kilka chrząszczy, a przed okiem rozciągała się w dal rozległa murawa, otoczona bukami i klonami, z pomiędzy których tu i ówdzie jaśniejsza akacja lub krzak bzu wyglądały. Atoli jeszcze głębszy spokój tchnął z jodłowych i sosnowych gaików, które przypierając po prawej ręce do murawy, zarastały ciemnym gąszczem kilka drobnych pagórków. Ziemię pokrywały tutaj mchy i poczerwieniałe szpilkowe listki; szary granit, wysterczający tu i ówdzie z ziemi osłaniały różnego gatunku powoje i rojniki, przez kamienie i stu-

letne korzenie toczył się ze szmerem mały potok.

Gdy Alfred kilka kroków naprzód postąpił, zdawało się mu że się znajdował w głębi lasu, zdala od ludzkich mieszkań. Utorowane tutaj ścieżki były zaniedbane, a to przyczyniało się do spotęgowania złudzenia. Tutaj nie było słychać zupełnie turkotu wozów na gościńcu; tylko u stóp człowieka szemrał potok, a nad jego głowami szumiały tajemniczo ciemne jodły. Krocząc coraz dalej zatrzymał się Alfred nagle przed słomą pokrytą pustelnią, która była niezamieszkałą i ku upadkowi się chyliła. Z pomiędzy desek jej pojedynczych ścian wyrastały grzyby, a w słomianym dachu zagnieździła się cała gromada wróbli. Lecz we wnętrzu tej chaty było widać jeszcze ślady dawnego zamieszkania. Na ścianie wisiała próżna półka na książki, a proste stołki z poręczami zapraszały jeszcze teraz przychodnia do wypoczęcia. Prawdopodobnie krył się tutaj dawniejszy właściciel, książę L., kiedy go świat znudził. Alfredowi spodobał się ten cichy zakątek, dla tego życzył sobie w duchu, aby mu baronowa odstąpiła tę pustelnią na mieszkanie. Rzecz godna uwagi, że młodzieniec zatęsknił do pustelniczej ciszy po tak krótkotrwałych wzruszeniach, doznawszy tak miłych wrażeń w przepysznych salonach baronowej. Sam Alfred uśmiechnął się, gdy się zastanowił nad swem życzeniem.

— Już ja podobno na zawsze, pomyślał sobie w duchu, pozostanę wiejskiem dzieckiem, bo dwie dusze we mnie przemieszkują.

[illegible]kłszy to usiadł na mchem obrosłej ławce i pr[illegible]

słuchując się szumiącym jodłom, myślał o tem, co było i co będzie w przyszłości, o swej wiosce i o wielkim świecie. Baronowa siedziała z dobrodusznym uśmiechem na miłej twarzy obok niego na ławce, jej dzieci igrały pośród odłamów skały, a wśród pomroku jodeł spoglądając na niego, kroczyła cudowna postać Gabrjeli.

II.

Mieszkańcy Willi.

Alfred, który sobie wyobrażał, iż patrzał na świat tak jasno jąby jaki doświadczony starzec, był w istocie marzycielem i ulegał ułudom, bo się mu nawet zdawało, że z wstąpieniem w dom Fryzenów uczynił pierwszy krok w właściwy wielki świat. Wszak wszyscy ludzie wspominali nazwisko barona Fryzena. Sława jego majątku i wpływu sięgała daleko po za granice kraju, tak, iż i Alfred już od najrańszych lat słyszał, jak ludzie wymawiali nazwisko jego domu, jako reprezentanta bajecznego blasku. Dla tego też bardzo imponowała Alfredowi myśl, że wszedł z nim w tak bliskie stosunki. Atoli baron Fryzen należał do owych wpływowych mężów, których ludzie w państwie raczej do pewnych celów używają, aniżeli ich szacują do owych nowoczesnych amfibii społeczeństwa, które mieszczaństwo do szlachty, szlachta do stanu mieszczańskiego zalicza, do owych chwiejnych zjawisk, które wskutek na[illegible]niej-szej odmiany losu mogą być wyniesionemi w n[illegible]sze

sfery, albo zepchniętemi w najgłębsze przepaście. Państwa nowoczesne potrzebują takich ludzi o wiele więcej, aniżeli starożytnych świetnych imion; dają one im tytuły, wyszczególniają ich w pewnych chwilach, popierają wpływ jaki sobie wywalczyli, atoli tradycja jest silniejszą od konieczności, a w towarzystwie szacują wyżej człowieka zbytecznego, ale błyszczącego w świecie, aniżeli męża, który się stał chwilowo niezbędnym. Takim mężem był już dziad barona Fryzena, którego ród całą swą egzystencją skojarzył z losami państwa, podzielając z niem przez kilka pokoleń wszelkie odmiany szczęścia. Ten ród upadał z państwem i podnosił się do góry, a jego nazwisko odgrywało prawie od 200 lat ważną rolę we wszelkich finansowych i w wielu politycznych zdarzeniach. Pozawierane małżeńskie związki skojarzyły ten ród z starożytnemi, chociaż majątkowo zrujnowanemi familjami, i można było przewidywać, że kiedy raz bank zostanie zamkniętym, a który z Fryzenów zapragnie w stanie spoczynku używać swego olbrzymiego majątku, najwyższe sfery towarzystwa chętnie go u siebie powitają.

Gdy się rozchodziło kiedykolwiek o bliskie pożyczki, ważne przedsiębiorstwa, były puste przedpokoje ministrów, jego zaś mieszkanie było przepełnione petentami, których nazwiska gubiły się w pomroku wieków. Miewał on do rozdania tyle posad, ile ich miewa któryś z rządowych wydziałów, a ponieważ z lepszymi były połączone większe dochody, przeto starano się o nie z większą gorliwością. Krajowy przemysł był nacechowany zabiegami Fryzena, ponieważ będąc zawsze go-

towym do przedsiębiorstw, z któremi było połączone jakie nowe stanowisko, był pierwszym, który w swym kraju w obec nieco za późno rozbudzonego przemysłu zakładał fabryki i znaczne kwoty pieniężne ryzykował, do którego rozpoczęcia rząd nie miał odwagi. Dlatego też był mu rząd wdzięcznym, lecz zwyczaj, mający nad rządami przewagę był nieubłagany; dla tego też niejednokrotnie zaciskał w gniewie zęby Fryzen, gdy jego salony podczas urządzonych przez niego uroczystości i zabaw odwiedził który z książąt sam, bez dostojnej małżonki. Musiał on sobie w duchu vyznać, że zgromadzał około siebie tylko owę szlachtę z żonami i córkami, która będąc majątkowo zrujnowaną wyczekiwała od niego jakiejś posady dla ubogiego krewniaka, lub okruchy jakiegoś zysku. W rzadkich tylko chwilach pojmował Fryzen, że praca, pilność i twórcza siła posiada prawo do wystąpienia z dumą i godnością w obec jałowej bezczynności. Jego głównem i nausilniejszem staraniem było zawsze otaczanie swego domu blaskiem na zewnątrz i wpajanie w osoby niewtajemniczone przekonania, że zajmował naczelne stanowisko hierarchii. I tutaj ubolewał nad tem, że jego żona nie posiadała potrzebnego uzdolnienia do wspierania go w jego zamysłach. Matylda nie podzielała bynajmniej jego ambicji. Jej matka była bogatą mieszczanką, którą wydano za ubogiego hrabiego. W nowym świecie, w który ją mąż wprowadził, doznała ona niejednokrotnie niewysłowionych upokorzeń; dlatego też, idąc za wskazówką rozsądku, usunęła się jeszcze w porę od tego świata, aby nie rozgoryczać umysłu walką z nikczemnym spo-

sobem myślenia. W tem chwalebnem odosobnieniu wychowała córkę i zaszczepiła w jej duszy ową skromność i prostotę, które wyłącznie mogły były uchronić ją od podobnych upokarzających doświadczeń i które w istocie przechowały się potem niezmiennie w duszy żony ambitnego barona Fryzena. Nie rozumiała ona bynajmniej dążności męża w stykaniu się z odgrodzonemi w towarzystwie sferami, i dlatego spotykał ją od męża niejeden wyrzut. Sam tylko zwyczaj i sposób życia pouczył baronowę, że zachodzi pewna różnica pomiędzy nią a tak zwanemi niższemi stanami; oprócz skromności i niejasnego poczucia umysłowej podrzędności nie stanowiła ona żadnej innej różnicy pomiędzy sobą a drugimi. Jej światem był mąż i dzieci, reszta ją nie obchodziła, nigdy jej nie przyszło na myśl, wydawać sąd o obcych ludziach i ich stosunkach, słuchała z ugrzecznieniem co ludzie w towarzystwie o drugich mówili, lecz sama była zawsze daleką od wszelkiej obmowy.

Ciekawe stanowisko zajmowała w domu Fryzenów panna Gabrjela. Była ona córką francuskiego wychodźcy, który swemu sędziwemu królowi okazał wiele dowodów niewzruszonej wierności, lecz sam wskutek tego w nędzę popadł tak, iż po jego śmierci, jego jedynaczka Gabrjela żyć z czego nie miała. Atoli najznakomitsze panie „stolicy“ otoczyły ją natychmiast czułą opieką, tak, iż sobie ją, rzec można, pojedyncze osoby i rodziny z rąk wydzierały; a ona stała się wychowanicą całej arystokracji. Zdawało się, że ta sierota, stawszy się ulubienicą tylu dostojnych opiekunek, mogła była dowolnie wybierać szczęście, jakie jej ofiarowało wy-

tworne towarzystwo, tem więcej, ponieważ ją wspierała niezwykła uroda, która na otoczeniu dziwny i osobliwszy wpływ wywierała. Przedewszystkiem letni panowie, doświadczeni znawcy rokowali równie uzdolnionej jak pięknej Gabrjeli świetną przyszłość.

Było jednakże rzeczą zastanawiającą, iż Gabrjela nie wysiedziała długo w żadnym domu i że się nieustannie przenosiła od jednej do drugiej rodziny, chociaż się nie można było dopatrzyć żadnej przyczyny tych jej częstych wędrówek. W ten sposób stała się ona członkiem i powiernicą wielu rodzin, chociaż właściwie do żadnej nie należała. Poznała ona nieskończenie wiele ludzi i tajemnic i to też mówiono, że się jej bała ta i owa dama, że wywierała tajemny wpływ na tego i owego mężczyznę. Jej osoba okryła się więc jakimś urokiem awanturniczości, pomimo taktu i ostrożności w mowie i zachowaniu. Matylda, która już wiele szczegółów o niej słyszała, poznała ją u wód w chwili, kiedy Gabrjela właśnie była bez przytułku i z jedną tylko służącą w wielkim żyła niedostatku. Nieszczęście urodziwej sieroty pozyskało sobie szybko serce szlachetnej baronowej, która litując się nad nią, prosiła męża aby jej pozwolił przybrać ją do domu. Baron Fryzen zgodził się z przyjemnością na otoczenie opieką spadkobierczyni starożytnego arystokratycznego imienia. Od tego czasu doznawała Gabrjela od nowej przyjaciółki samej tylko miłości i życzliwości; baron otaczał ją osobliwszym szacunkiem, okazując wyraźnie całem zachowaniem, iż w swym domu dał przytułek damie

wysokiego rodu i spełniał sumiennie obowiązek, jaki na siebie wzięła wszystka szlachta.

Takimi byli ludzie, którzy w wyobraźni Alfreda chwilowo dopiero jako niejasne postacie, ogólne pojęcia się snuli. Z głową opartą na ręku siedział przyszły guwerner Fryzenów, malując sobie w myśli w jaskrawych kolorach ożywioną przyszłość, w której się znajomi i nieznani fantastycznie i bez ładu uwijali.

III.

Dom zielony.

Dźwięczny niewieści głos, dolatujący zdaleka przebudził Alfreda z długiego dumania. „Miłka, Miłka!“ wabił ktoś w ukryciu; a kiedy młodzieniec z ócz rękę usunął, ujrzał młodą sarenkę, która w szybkim biegu złamy skał przeskakiwała, zdążając w stronę, z której ją dochodziło nawoływanie. Mimowolnie powstał Alfred i poszedł za pięknem zwierzęciem, które coraz szybciej jodłowem zagajeniem przez murawę biegło, a wkońcu jednym susem w pełne kwiecia ogrodzenie wskoczyło. Z trudnością rozchylił Alfred gałęzie i wydał okrzyk zadziwienia na widok, jaki się jego oczom nastręczył. Opodal od parku pośród wysokiego ogrodzenia, którego jeden bok stanowiły liczne cieplarnie, ukazał się młodzieńcowi cudowny świat roślinny, pełen barw i blasku. Przestrzeń wypełniały rośliny wszelkich stref, było ich wszędzie pełno: naokoło ścian ogrodzenia, na grządkach

i etażerkach, nad sadzawkami i sączącemi się ze szmerem potoczkami. Z otwartych cieplarni wysuwały palmy swe szerokie liście, mały domek w tem uroczysku zarastały bujnie i gęsto wijące się rośliny z różnobarwnem kwieciem; a na schodkach, które wiodły na dół z tego zielonego gniazdka, siedziało młode dziewczę, na którego łonie spoczywała młoda sarenka, za którą tutaj Alfred przybył jakby jaki „błędny rycerz".

Na widok jasno-włosej miluchnej dziewczyny zrobiło się Alfredowi gorąco, i w istocie w kilku godzinach dożył młodzieniec za wiele, jakkolwiek bez żadnego ważniejszego zdarzenia. Jakimże to szczęśliwym trafem dostał się on nagle w ten świat, pełen piękności?! Nie wspominamy już o pałacu, parku i ogrodzie, ale i tutaj objawiło się jego zdziwionemu oku piękno w ludzkiej postaci. Baronowa była pełną elegancji, uprzejmą, słodką i dobrotliwą, a przytem jak najpowabniejszą kobietą; imponującą pięknością była Gabrjela, a w końcu i tutaj, w tem rozkosznem zielonem zaciszu siedziała przed nim wśród najwspanialszego otoczenia jakby w jakiejś baśni w Andersenowskiej powiastce, skromna dziewczyna z pośród ludu, widocznie córka ogrodnika, która się mu wydawała być samą poezją, chociaż na sobie miała tylko całkiem niewykwintną perkalikową sukienkę i nie posiadała urody baronowej, a tem mniej Gabrjeli. Jej zgrabna i miła twarzyczka była ogorzała od słońca, atoli świeże rumiane usteczka uśmiechały się uroczo i figlarnie, gdy igrała z sarenką, a jej duże, bardzo duże oczęta spoglądały w świat boży z pod długich ciemnych rzęs tak szczerze i wesoło, jak gdyby

dotychczas nie widziały były jeszcze nic brzydkiego, odrażającego. Widać było, że te jej oczy, jak o tem przekonywało otoczenie, zwykły były patrzeć tylko na to, co piękne, spoglądać w świat, jak się spogląda w otwarty, niepokalany kielich kwiatu!

Serce Alfreda zadrżało dziwnem wzruszeniem. Był on młodym, to też się mu zdawało, że owa wszystka piękność i wspaniałość była dla niego stworzoną. Równocześnie atoli doznał on pewnej trwogi, napełniającej młode serca w kwiecie wieku przeczuciem, iż na ziemi „nie ma szczęścia bez goryczy“, a jeden z klasycznych poetów przypominał mu o „zazdrości bogów“. Gdyby był posiadał pierścień na palcu, byłby był podszedł ku wielkiej sadzawce, gdzie nadobne łabędzie pływały, i pogrążyłby go w wodnej toni jak niegdyś Polikrotes w celu przejednania tą ofiarą zawiści bogów. Lecz młode umysły zapominają wnet o podobnych niepokojach; to też i Alfred wstępując w świat, postanowił nieprzyjmować ich do duszy. Przyjaciel w prowincjonalnem mieście powiedział mu, że chcąc je pokonać i oddalić od siebie, należy się przygód jak strachów chwytać z bliska. Wierny tej zasadzie w życiu, nabrał Alfred ducha i postąpił śmiało ku furtce wiodącej do cudownego kwietnika. Skoro ją otwarł, odezwał się dzwonek tak głośno nad jego głową, iż się przeląkł i zatrzymał.

Dziewczyna spojrzała na niego i śmiała się z jego przestrachu. To rozgniewało Alfreda, postąpił więc naprzód; atoli równie prędko i ona się zerwała i poskoczyła naprzeciw niemu.

— Przepraszam, rzekła dźwięcznym, uprzejmym, a przecież nieco ostrym głosem, czy pan nie czytałeś napisu nad drzwiami?

— Zanadto wielka ciekawość wiodła mnie w to tutaj miejsce, odrzekł Alfred, i zbyt gorąca chęć ujrzenia z bliska tych tutaj wszystkich pięknych rzeczy w ogrodzie, aby mnie napisy mogły były zatrzymać!

— Otóż tutaj, powiedziała dziewczyna, umieszczono ostrzeżenie: „Publiczności wstęp wzbroniony".

— Jednostka nie stanowi publiczności; odrzekł Alfred z uśmiechem, a zresztą może nie tak ściśle należy się trzymać tego napisu?

— Owszem, rzekła żywo dziewczyna, tak mój ojciec jak i pan baron trzymają się go ściśle, gdyż posiadają pewne tajemnice, które chcą ochronić, aby ich na wystawach kwiatów nikt nie wyprzedził, albo się też z podobnemi okazami nie pokazał, albowiem przez to zapewniają sobie zawsze pierwsze nagrody. Przedewszystkiem mój ojciec, mój ojciec jest bardzo surowy.

— I to tylko z powodu kwiatów? zapytał Alfred z uśmiechem.

— W istocie, odpowiedziała dziewczyna wymijająco, on jest bardzo surowy i trzyma się ściśle wspomnianego napisu. Gdy powróci do domu i dowie się, że tutaj był obcy przybysz, będzie się na mnie bardzo gniewał, gdyż drzwi powinny były być zamknięte.

— Niechże panią pocieszy zapewnienie, że nie jestem natrętem. Pani baronowa pozwoliła mi rozglądnąć się tutaj wszędzie; a ja wkrótce nie będę obcym w jej domu, właściwie już teraz nim nie jestem. Jestem, albo

będę według wielkiego prawdopodobieństwa nauczycielem jej dzieci.

Marja, tak się bowiem nazywała córka ogrodnika, przyglądała się chwilkę Alfredowi badawczo a potem rozśmiała się głośno. Ten jej śmiech był tak miły, że się i Alfred rozśmiał mimo zakłopotania.

— Czy mogę panią spytać, dlaczego się moje słowa pani wydają tak śmiesznemi?

Dziewczyna odpowiedziała pytaniem: — A więc to pan jesteś nauczycielem? A, to rzecz bardzo zabawna!

To oświadczenie ładnej dziewczyny obraziło nieco próżność Lindaua, który też nieco czoło nachmurzył.

Dziewczyna zaś mówiła dalej:

— Gdy tutaj mówiono o nauczycielu, który miał do tego domu zawitać, wyobrażałam sobie zawsze człowieka starego, zgryźliwego, zawędzonego, z ogromną peruką na głowie na kształt naszego wiejskiego bakałarza.

Na te słowa wypogodziła się twarz Lindaua. Dziewczyna śmiała się tylko dlatego, ponieważ on wyglądał zupełnie inaczej aniżeli nauczyciel, jakiego sobie dotychczas zawsze wyobrażała. Przykro przecież było Alfredowi, iż ona w ogóle mogła była sobie tak przedstawić w wyobraźni nauczyciela.

— Przekonujesz się pani, rzekł wreszcie młodzian na pół z zadowoleniem, na pół z ironicznym uśmiechem, że nauczyciel dzieci barona Fryzena musi inaczej wyglądać aniżeli wiejski bakałarz.

— Już̇ci, jużci; zawołała, śmiejąc się Marja, ale zachodzi i tak pytanie, czy nie miałam słuszności, czy dla nauczyciela nie byłoby lepszą rzeczą wyglądać

jak wiejski bakałarz, a nie wyglądać wcale tak, jak pan wyglądasz? Zdaje się mi, że trudno zbytecznie lękać się i respektować takiego młodego...

Marja urwała nagle mowę i zarumieniła się. Alfred byłby ją rad w tej chwili uściskać. Cóż mogło mu bardziej pochlebić od tego zarumienienia się z powodu niewymówionego wyrazu, który miała na ustach, i cóż jej mogło dodać więcej wdzięku od tego zarumienienia?! Lecz Alfred nie umiał cieszyć się z zakłopotania naiwnej młodej istoty; to też szybko przeszedł na inny temat w rozmowie, prosząc Marji, aby mu dozwoliła przyglądnąć się zbliska wspaniałemu światu roślinnemu. Marja zaprowadziła go do palm i lilii z pod równika, które kwitnęły u jej stóp, częściowo w ogrzanych basenach, potem do różnorodnych roślin storczykowatych, objaśniając mu wszystko i wymieniając nazwę każdej roślinki jakby jaki rutynowany ogrodnik. Przy tem była ciągle zajętą, poprawiała to to, to owo; w jednem miejscu zrywała zeschłe listki, w drugiem podnosiła i przywiązywała obwisłe gałązki, jednem słowem, okazywała się doświadczoną ogrodniczką. Alfredowi wydawała się Marja czarodziejką, istotą wymarzoną, któraby wśród innego, mniej pięknego i poetycznego otoczenia wcale żyć nie mogła, a mimoto zarazem osobą praktyczną, pewną siebie, niewiastą, która się czegoś wyuczyła i posiadając zdrowy rozum na swem stanowisku pożyteczną rozwija działalność. Od owego zarumienienia się Marja wprawdzie udzielała mu wszelkich potrzebnych objaśnień, lecz w obejściu była ostrożniejszą, więcej milczącą. Odzyskała dopiero wtedy pierwotną swobodę w obcowaniu, gdy

zauważyła, że Alfred, pragnący wszędzie nauczyć się czegoś, przysłuchiwał się uważnie jej objaśnieniom i nauce tak, iż się zdawało, że zapomniał całkiem o jej poprzedniem zakłopotaniu. Skoro z cieplarni wyszli, rozmawiali z sobą widocznie znowu poufalej.

— Życzyć wypada panu szczęścia, panie Lindau, rzekła Marja, iż pan trafiłeś na tak dobrą panią, jaką jest baronowa Fryzenowa. To prawdziwie złote serce, nie znajdzie u niej i śladu dumy, toż nigdy nie da ona panu uczuć stanowiska, jakie pan zajmiesz w jej domu.

— Stanowiska! zawołał Alfred z pewnem niezadowoleniem, pani wyrażasz się tak, jak gdybym ja przyjmował jaką służbę. Bynajmniej, przyjmuję na siebie tylko pewne obowiązki i nie dozwolę, aby jakaś różnica...

— No, no, przerwała mu mowę Marja z uśmiechem, przypatrując się mu z upodobaniem, pan jeszcze nie znasz barona Fryzena. Wobec niego potrzeba być takim człowiekiem, jakim jest mój ojciec, który zwiedził cały świat i dla drobnej roślinki często wdzierał się pomiędzy dzikie plemiona i niejedną burzę na morzu przetrwał. Hm, zresztą i pan możesz być takim człowiekiem.

Alfredowi zdawało się teraz, że w osobie tej 18-letniej dziewczyny posiadał badacza i stróża nad sobą, w obec którego musiałby się wstydzić, gdyby na nowem stanowisku nie umiał zachować swej godności i wolności. Zamyślił się tedy i spojrzał mimowolnie badawczo i czule w oczy lubej dziewczyny, a gdy ona, przytakując głową dozwoliła sobie patrzyć w oczy całkiem

swobodnie, wyznał w duchu młodzieniec, że ona mogłaby się stać dla niego opiekuńczym aniołem, któryby go zdołał uchronić od dobrowolnego upadku, albo poniżenia od drugich.

— A panna Gabrjela? zapytał nagle Alfred.

— Nie zbliżaj się pan do niej! odrzekła Marja żywo.

Potem zamilkli oboje, po chwilce atoli rozśmiali się, gdyż im równocześnie wpadło na myśl, jak szybko się zpoufalili; zdawało się im, że sobie mogą wszystko wypowiedzieć. Było to słodkie uczucie, które ich oboje uszczęśliwiało, Alfredowi zaś pewności w działaniu nadawało tak, iż poczuł grunt pod nogami wobec nowych okoliczności, w jakich się znajdował.

Z dala dał się słyszeć turkot powozu.

— Pani baronowa powraca! powiedziała Marja.

Alfred ujął ją za rękę.

— A więc muszę się oddalić, rzekł, czy często będę się mógł widywać z panią?

— Zdaje się mi, że nie. Sam nie będziesz pan mógł tutaj często przychodzić, mój ojciec nie życzyłby sobie tego; wolno atoli panu zaglądnąć z panią baronową, lecz ona pojawia się u nas rzadko.

— A w parku? zapytał Afred.

— Nigdy! Ojciec nie pozwala mi tam chodzić, gdyż ja nie mam nic do czynienia z ludźmi wielkiego świata. Te tam drzwi, które wiodą do wsi i na pola, to są drzwi moje.

— Osobliwszy to człowiek, ten ojciec pani!

— O, to człowiek najlepszy! odrzekła Marja tak serdecznym głosem, iż Alfred doznał prawdziwego wzruszenia.

Uścisnął jej rękę i powrócił spiesznie do willi, ponieważ wkrótce po przybyciu baronowej z przejażdżki miano zasiąść do objadu.

Wspaniały pałac już teraz nie imponował tak Alfredowi jak zrana; ów mały zielony domek w ogrodzie wydawał się mu być piękniejszym! Młodzieniec czuł także w duszy, iżby był z większą radością powracał do ugrzecznionej i życzliwej baronowej, gdyby dla niej nie potrzebował był opuszczać Marji. Pomimo wszelkiej dobroci przyszłej chlebodawczyni czuł się on wobec młodej ogrodniczki o wiele swobodniejszym, a jakżeż prędko z nią się zaprzyjaźnił! Na tę myśl powiedział sobie w duchu: „Równy z równym się brata!“

Ów domek zielony, opleciony wijącemi się roślinami wydawał się mu ideałem owych chatek, które poeci opiewają jako przybytki cnoty; stwierdzały mu to wyrażenie się Marji o ojcu w sposób serdeczny, jakoteż jej cała istota. Jeśli w powyższym względzie nie pomylili się poeci, dlaczegożby i to ich twierdzenie nie miałoby być prawdą, że w pałacach, podobnych do tej willi w której miał zamieszkać, przebywa występek, albo egoizm, albo duma? W duchu przepraszał baronową, gdyż jej wyrządzili poeci z pewnością krzywdę!

IV.

Podczas objadu.

W salonie zastał Alfred obok baronowej dwóch panów. W jednym z nich rozpoznał on natychmiast hra-

biego Aureliusza Kamińskiego, którego portret wisiał w pobocznym pokoju, drugim był baron Fryzen. Jemu i hrabiemu przedstawiła baronowa Alfreda jako owego młodzieńca, o którym przed chwilą mówiła była. Hrabia skłonił się uprzejmie; baron wymówił kilka słów pod nosem, które można było wziąść za utarty komplement, kazał mu skinieniem ręką usiąść na krześle i rzuciwszy na niego okiem od niechcenia, zwrócił się potem do hrabiego, podejmując z nim na nowo przerwaną rozmowę.

— Tak, panie hrabio, mówił, dzisiejszy dzień jest prawdziwie szczęśliwy; otrzymałem bowiem wreszcie dzisiaj koncesję na rozpoczęcie jednego z największych przedsiębiorstw, na jakie się od lat dziesiątek, a może od wieków w naszem państwie nie odważono, i które jak żadne inne dotychczas, wyjdzie na korzyść i chlubę monarchii. Pan zapewne wiesz, co mam na myśli, wielkie towarzystwo „parowej żeglugi!“ „Gdy pan, powiedział mi minister, spuścisz na morze w ciągu pięciu lat 10 parowców, natenczas możesz pan być pewnym, iż się staniesz jednym z największych magnatów w państwie, i osobistością, z którą się będzie potrzeba liczyć“. Zrozumiałem doskonale ministra, miał on na myśli świetne podwyższenie stanu dla mnie i dla moich potomków. Ja zaś żywię nadzieję, że te 10 parowców już w pierwszym roku spuszczę na morze. Minister nie wie o tem, że już teraz 6 z nich buduję w Londynie i Glasgowie. I jak gdyby mię Opatrzność w moich planach wspierała, otrzymuję tego samego dnia, w którym mi udzielono koncesję, uwiadomienie, że tylko

o kilka mil od przystani odkryto pokład węgla kamiennego! Wysłałem tam natychmiast jednego z mych urzędników, ażeby zakupił wszystkie grunta w okolicy, jakoteż same przyszłe kopalnie, choćby za najwyższą cenę, drugiego zaś, aby poczynił potrzebne przygotowania w przystani, tudzież w miejscach przyszłych stacji.

— Słyszałem o tym nowo-odkrytym pokładzie węgla, rzekł hrabia, mówiono o nim wczoraj u radcy pana Negretjego; atoli geolog profesor Zimmermann utrzymywał, że się musiano omylić, i chciał wejść choćby w najwyższy zakład, że w owych górach nie znajduje się żaden pokład węgla nawet małej wartości.

— Tym teoretykom, zawołał z niecierpliwością baron, tym uczonym mężom dozwalamy chętnie mówić. Gdy fakta przeciw nim przemawiają, znachodzą oni zawsze coś takiego, czem mogą pokryć swe słabe strony. Dla mnie posiada więcej wartości to, co mi pisze mój korespondent, aniżeli wszelkie przemądre orzeczenia wszystkich profesorów na świecie!

Hrabia nie chciał się zgodzić na gniew, jakim tchnęły wyrazy pana Fryzena, i aby nadać sprawie zwrot żartobliwy, zacytował poetycznie słowa z utworu Getego p. t. „Faust".

„Wzgardź tylko rozumem, umiejętnością,
Najwyższą tylko wzgardź siłą człowieka:
A wnet . . . .

W tej chwili weszła do pokoju panna Gabrjela, a baron powstał natychmiast przysunąć jej krzesło. Ponieważ atoli równocześnie lokaj oznajmił, że stół na-

kryto, podał jej on ramię i poprowadził ją do jadalni. Wyprzedzili ich hrabia z Matyldą; Alfred podążył zaś dopiero za wszystkimi.

Mimo z górą trzydziestu lat, był baron posiadający smukłą budowę ciała bardzo eleganckim i prawie pięknym mężczyzną, chociaż posiadał twarz bladą, przywiędłe rysy i mdłe bure oczy, którym okulary tylko fałszywego blasku nadawały. Alfred stracił był do niego serce, odkąd go tak chłodno przyjął i z taką pogardą o umnictwie się wyrażał; mimoto przyglądał się mu z upodobaniem, idąc za nim przez 3 pokoje, jak zgrabnie i lekko ten smukły mężczyzna kroczył po posadzce obok wspaniałej postaci Gabrjeli. Nazywał on ją tylko „panną de Chaumont", rozmawiał z nią po francusku, dopytując się z wielkiem współczuciem, jak dzień spędziła. Widziałże Alfred dobrze, czy się też nie mylił? Jemu zdawało się, że wchodząc drzwiami do jadalni, pan Fryzen przycisnął do siebie mocno ramię Gabryeli.

Na ten widok doznał młodzieniec nieprzyjemnego uczucia, dlatego też bardzo się tem ucieszył, że podczas objadu prawie tylko sama baronowa o niego się troszczyła. Nie uważał tedy na to, że obok najkosztowniejszych potraw i owoców podawano na stół wyborne wina: Xeres, Bordeaux, burgundzkie i szampan, a za nim także stał lokaj, czekając na jego rozkazy. Rankiem tego samego dnia byłby się Alfred w powozie dziwił podobnej swojej obojętności. Na widok baronowej przejmowała jego serce litość, a nagle przyszła mu myśl do głowy: „Może też ona jest kochanką hrabiego, mój

Boże! kto wie... w tym świecie"... Gabrjela mówiła mało, ale zawsze z pewną wyniosłością i zniżeniem się nawet w obec baronowej, której przecież szyję rano szalem osłaniała. W głowie i sercu Alfreda pozostał zupełny zamęt: nie wiedział on już, co miał myśleć, kogo w tem towarzystwie miłować, a kogo nienawidzić. Na szczęście oznajmił służący przybycie ogrodnika, który właśnie z miasta powrócił.

Alfred spoglądnął ku drzwiom z wielką ciekawością i pomyślał sobie w duchu:

— A, to ojciec Marji, ten, „najlepszy człowiek na świecie!".

— Poproś go tutaj natychmiast, zawołał baron, a zwróciwszy się do hrabiego dodał:

— Powiedziałem panu, że dzisiejszy dzień jest szczęśliwy! Pozyskałem nagrodę na wystawie kwiatów, a ogrodnik przynosi mi wspaniały puhar, prawdziwe arcydzieło!

W tej chwili wszedł do pokoju wysoki, barczysty, blisko 60-letni mężczyzna, z ogorzałą twarzą, krótko strzyżonemi szpakowatymi włosami, w fałdzistym poza kolana sięgającym płaszczyku.

— Dzień dobry, panie Van der Sluy, powitał go żartobliwie baron, przynosisz pan naszą nagrodę, zwyciężyliśmy!

— Naszą nagrodę! tak, naszą nagrodę, mruknął pod nosem ogrodnik, za najpiękniejsze kwiaty, to prawda. Nagroda? Van der Sluy byłby jej i tak nie otrzymał. Nagroda? ona przypadła w udziale baronowi.

— Zawsze ten sam, zawołał znowu baron, z świata niezadowolony filozof!

— Zawsze ten sam! potwierdził ogrodnik, wręczając panu puhar... Tutaj, dodał, wskazując na napis, zaznaczono: „Baronowi Feliksowi Fryzenowi“, nie masz żadnej wzmianki o Korneliuszu Van der Sluy'u, a przecież baron Feliks Fryzen, nie umie odróżnić nawet gęsiego ślazu od palmy daktylowej, gdy Korneliusz Van der Sluy z australskich leśnych kwiatów wyhodował prawdziwe europejskie cudy.

Hrabia rozśmiał się, uczynił to samo także baron i zawołał:

— Prawda, wielka prawda, ale świat już jest taki.

— Ale świat jest taki, potwierdził Van der Sluy, nie zmieniając ciągle wyrazu twarzy.

Gdy stołownicy oglądali nagrodę, t. j. srebrny puhar, przedstawiający ogromny kwiat, trzymany w ręku nad głową przez piękną rusałkę, poskoczył baron do przyległego pokoju i przyniósł z niego rulon pieniędzy w złocie. Wsypawszy je do puhara rzekł:

— Patrz pan, panie Van der Sluy, trafiłem doskonale miarę: kielich jest pełny! Zabierz to pan i przyznaj, że świat nie jest całkowicie niesprawiedliwy.

Van der Sluy poruszył ręką jak człowiek który coś na niej waży, i mruknął urywkowym sposobem:

— Honor, złoto... honor, złoto? Weźmie się je, któż wie dla kogo się ono przyda; dla mnie, a może dla barona!... Pójdzie złoto do złota!

Mówiąc to wysypał pieniądze z puhara do czapki, potem wziął do ręki kieliszek szampana, który mu na-

pełnił sam baron Fryzen, zwrócił się do baronowej i zmieniwszy nagle wyraz twarzy, na której dobroć i uprzejmość zajaśniały, powiedział:

— Zdrowie pani baronowej!

Matylda pochwyciła spiesznie swój kieliszek i trąciła o kieliszek Van der Sluy'a, który się teraz skłonił i oddalił.

Pocieszało to wszystko Alfreda, osobliwie zaś zachowanie się ogrodnika przed samem odejściem względem baronowej, gdyż ten objaw jego życzliwości zdawał się być pięknem dla niej świadectwem.

Rozweselony powracał Alfred późnym wieczorem w powozie baronowej wraz z hrabią Aureliuszem do miasta. Po drodze objawił mu hrabia niejeden szczegół dotyczący domu barona, a to dlatego, aby się Alfred mógł w nim lepiej zorjentować. Przedewszystkiem ubolewał on nad zgonem pewnego ubogiego krewniaka barona, który się znał doskonale na robieniu interesów, był duszą całego domu i umiał powściągać ambicją barona. Hrabia utrzymywał, że pan Fryzen był zanadto pochopny do przedsiębiorstw i ambitny, a przedewszystkiem lubiał dobrze żyć. O Gabrjeli nie wspomniał ani jednem słowem. Skoro się wreszcie hrabia z Alfredem żegnał, uścisnął mu serdecznie rękę i rzekł:

— Spełniaj pan tylko swe obowiązki, a o resztę nie troszcz się wcale. Jeśli pan z dzieci wychowasz dwóch mężów, dla których praca stanie się nieodzowną potrzebą i uszczęśliwieniem, natenczas starania pańskie będą najlepsze. Baronową najlepiej zostawić w pokoju, lunatyczek nie powinno się budzić.

— Co za wyrocznia, co za dzień! pomyślał sobie w duchu Alfred, który przybywszy do swego mieszkania zdziwił się, iż ono było tak szczupłe i ubogie, chociaż już dawno tego nie zauważał.

V.

Upokorzenia.

Park, należący do willi Fryzenów, oświecony bladem światłem księżyca, wyglądał jeszcze piękniej aniżeli gdy go oświecało słońce jaskrawem światłem. Tutaj czarował wieczorem lub nocą jakiś dziwny urok duszę człowieka, która w słodkich marzeniach doznawała uszczęśliwiającego pokoju. Wśród uroczej nocy przechadzały się po pięknym parku dwie nadobne pary cichym krokiem, jedna w milczeniu, druga rozmawiając swobodnie. Skoro pierwsza z nich na skręcie zwróciła kroki w uboczny chodnik, tak, iż w świetle księżyca ukazała się jej twarz damie, która szła za nią, rzekła ona do towarzysza:

— Patrz pan, jak pięknie dzisiaj Gabrjela wygląda, nie zdołam sobie nic piękniejszego wyobrazić. Z jakimże niezrównanym wdziękiem ona kroczy i jak pięknie wygląda z osłony szalu jej śliczna twarzyczka. Jest pewien majestat w tej dziewczynie, jak gdyby była stworzona na monarchinię.

— Tak, pani baronowo, odrzekł Lindau, ona jest piękna, atoli rzecz osobliwsza, właśnie w tej chwili

nad tem się zastanawiałem, jak pięknym jest jej towarzysz hrabia Egon, który przytem jest dzielnym, utalentowanym człowiekiem.

— O, tak, powiedziała baronowa z uśmiechem, byłaby z obojgu piękna parka, nie pojmuję też dlaczego ten stosunek nie postąpił dalej. On ją kocha, stara się o nią, zagląda prawie codziennie do domu, lecz na tem się i kończy.

— Jej serce jest zimne! rzekł Lindau z zachmurzonem nieco czołem.

Matylda potrząsnęła głową i odpowiedziała:

— Nie mogę temu uwierzyć, wiem, że w jej duszy jakiś proces się odbywa, że w niej zamieszkał wielki niepokój, mimo wszelkich chęci z jej strony ukrycia go przed okiem świata. Przechadza się ona często po pokoju większą część nocy. A potem nie umiem sobie wyobrazić zimnego serca obok takiej piękności ciała. Ah, gdybym tylko mogła co dla niej uczynić, ona jest tak biedną, opuszczoną istotą! byłaby bezpieczną, gdyby ją poślubił hrabia Egon.

— Hrabia Egon jest ubogi! rzekł Lindau z naciskiem.

— Wypowiadasz pan to w tak właściwy sposób, co chciałeś pan przez to wyrazić?

— Sądzę, odrzekł Alfred z pewnem wahaniem się, że panna Gabrjela jest zanadto praktyczną, aby mogła poślubić ubogiego szlachcica, wyczekuje ona tylko, może się jej trafi coś lepszego.

— Kochany panie Lindau, powiedziała Matylda, która się zatrzymała z pewnym wyrzutem, pan żywisz uprze-

dzenie względem biednej Gabrjeli, tak się mi zdawało od pierwszej chwili, zaraz, jakkolwiek nie wiem dlaczego. Pan nie jesteś przecie zresztą człowiekiem złym; owszem jesteś pan bardzo pobłażliwym względem osób o wiele niższych od Gabrjeli, skądże to pochodzi, że pan. .

Alfred nie dał jej dokończyć, wiedział, że mówiąc o osobach niższych miała na myśli siebie samę, a to było dla niego upokorzeniem, jakiego już niejednokrotnie doznał w ciągu zaledwie kilku tygodni. Jakąż to prostotę i skromność poznał u tej pani, której dumy się lękał! Ilekroć się z nią spotkał, musiał ją w duchu przepraszać. Ona była mu tak wdzięczną za każdą najdrobniejszą przysługę, wyświadczoną przez niego jej dzieciom; a zespolona duszą ściśle z niemi stała się Alfredowi podległą, jak gdyby i ona była jego wychowanicą i uczennicą. Podziwiała jego wiedzę, dowiedziała się od niego tyle nowych rzeczy, iż sądziła, że się będzie mogła wszystkiego od niego dowiedzieć, dlatego też wypytywała go o wszystko, a on stał się także jej doradcą, ponieważ oprócz niego nie miała nikogo przy sobie. Nigdy jeszcze tak dakładnie, jak właśnie w tej chwili, nie pojmował on stosunku, w jakim względem niej pozostawał, to też ze wzruszeniem ujął jej rękę i złożył na niej tak gorący pocałunek, iż baronowa ją szybko usunęła i w milczeniu dalej postąpiła.

Alfred uczuł, że zawinił względem niej, a wszelkie zakłopotanie Matyldy było dla niego męczarnią, dlatego też chcąc o ile możności obniżyć znaczenie tego pocałunku i zagłuszyć myśli, jakie on mógł był obudzić w tej dobrej kobiecie, rzekł szybko:

— Gabrjela jest bardzo ambitna, sięga ona myślą wysoko, hrabia zaś utracił względy u rządu wskutek swych politycznych zapatrywań, a książę, który jest jego wujem, wydziedziczy go. Nie nęci jej mały ziemski mająteczek z kawałkiem pola, gdzie raczej jak wieśniak aniżeli jako szlachcic gospodarzy. Nie sielanka, lecz dwór ją wabi! Nie umiałaby ona żyć w zaciszu, a osobliwie u boku męża, pogardzającego z przekonania towarzystwem, w któremby ona wyłącznie jaśnieć pragnęła.

Na ten temat mówił jeszcze długo Alfred, lecz trudno stwierdzić czy się jego mowie Matylda z równą jak zwykle uwagą przysłuchiwała.

Doszedłszy z powrotem do mieszkania szepnęła mu baronowa cichutko: „Dobranoc“, i weszła do sieni, osłaniając się starannie w chustkę, jak gdyby jej było zimno.

Alfred usiadł przed domem na ławce i dotknąwszy ręką czoła rzekł w duchu:

— Już nigdy, nigdy nie zapomnę się tak dalece; byłoby zabójstwem naruszenie t a k i e g o spokoju! Wszak się mi teraz zdawało, że ją kocham, a czyż nie doznaję tego samego uczucia, ilekroć widzę Marję?

W tem zamyśleniu zastała go Gabrjela, powracająca z Egonem z przechadzki.

— Pan tutaj, tak samotny, zapytała ze zdziwieniem, a gdzież baronowa?

Alfred wskazał na dom.

— A to i ja muszę za nią pospieszyć do mieszkania, powiedziała panna de Chaumont i skłoniwszy się weszla za baronową do sieni.

Weszło już było w zwyczaj, że Alfred odprowadzał do domu hrabiego Egona, który mieszkał o pół milki od willi w własnym małym domku. Powstał więc, aby i dzisiaj mu towarzyszyć, w przekonaniu, że wyświadczy młodemu człowiekowi wielką przysługę, gdy się będzie przysłuchiwał, jak Egon i tym razem będzie wychwalał Gabrjelę. I dzisiaj olśniły go tak dalece jej świetne zalety, iż równie jak ona nie zauważył zmiany, jaka zaszła była w duszy Alfreda, tudzież jego roztargnienia w ciągu drogi.

— Ona jest tak roztropna, mówił między innemi Egon, nie zważając, do kogo to mówił, iż przenika najskrytsze tajniki serca i widzi rzeczy, których się nawet najwięcej interesowane nie domyślają. Tę wielką skłonność, która się w duszy Matyldy dla pana coraz żywiej budzi, odgadła Gabrjela odrazu i śledzi teraz jej codzienny wzrost, jak gdyby słyszała jak trawa rośnie.

— Jakto, skłonność... dla mnie? zawołał Alfred wzbraniająco, o, w tej mierze mylisz się pan i pańska roztropna Gabrjela, przenigdy... ta prostodumna i cnotliwa pani... a to grzech prawdziwy.

Egon popadł w zakłopotanie i rzekł uspokajająco:

— Masz pan słuszność, ja sam tak myślę, ot, tylko się tak powiedziało.

Na szczęście stanęli teraz Alfred z hrabią u jego domu i rozstali się. Alfred powrócił spiesznie jakby na skrzydłach do willi. W oknach baronowej nie było widać światła, ucieszyło go to, jak gdyby już wszystko było skończone. Potem westchnął i zamyślił się nad własnem życzeniem, aby baron wkrótce powrócił z po-

dróży do portowego miasta i w ogóle dłużej przebywał w twej willi. Mimoto nie poszedł jeszcze do pustelni, którą mu na jego życzenie na mieszkanie przyrządzono, lecz zwrócił kroki ku kwiatowemu ogrodowi i spoglądał długo przez ogrodzenie ku zielonemu domkowi, w którym Marja spała i marzyła. Równocześnie myślał i o baronowej; wśród tych dumań przypomniał sobie o oświadczeniu Egona, iż w najbliższym czasie będzie prosił Gabrjelę o rękę i na serjo żądał, aby się zdecydowała, chcąc się z nią ożenić jeszcze przed upływem lata.

— I owszem, rzekł w duchu Alfred, zdążając ku pustelni, nie będę mu przeszkadzał, ani ostrzegał, jak zamyśliłem. Nie znajduję właściwej podstawy do obwinienia jej, a w domu będzie więcej wygody, gdy się ona z niego wyprowadzi. Póki ona tutaj bawi, zdaje się człowiekowi, jak gdyby żył pod nadzorem szpiegów.

Alfred nie mógł oka zmrużyć w nocy, a i baronowa licho spała i zaglądała często do dzieci. Chociaż była godną wszelkiej miłości i bardzo wielu mężczyzn stało się o jej względy, kiedy była jeszcze panną, mimoto jeszcze nikt nie złożył na jej ręce takiego pocałunku jak Alfred.

W kilka dni później powrócił baron i nie zatrzymując się w mieście, ani w swem biurze, udał się do willi. Był on tak roztargniony i niezadowolony, iż nie zauważył wcale zakłopotania i osobliwszego uśmiechu Matyldy w chwili powitania. Zaraz potem powrócił baron do swego pokoju i pisał kilka listów. Ostatni z nich który służący miał natychmiast zawieść do miasta, był

zaadresowany do hrabiego Aureliusza Kamińskiego, którego baron Fryzen pisemnie prosił o odwiedzenie go w willi jeszcze tego samego dnia, a to dlatego, ponieważ miał z nim do pomówienia o ważnych sprawach. Następnie zeszedł Fryzen do ogrodu i przechadzał się jakiś czas po szerokim, żwirem wysypanym chodniku, nagle obejrzał się i nie chcąc być widzianym ze wszech stron, a osobliwie od Van der Sluy'a, który opodal pracował, zboczył do gaiku i zdążając powolnym krokiem dostał się do pustelni.

Okno w niej było otwarte, przy stole siedział Lindau, pochylony nad książką, podobny do szczęśliwego mnicha w celi, gdyż w pustelni postarano się o wszelką wygodę dla Alfreda. Baron uśmiechnął się z pewnym wyrazem goryczy, a potem westchnął, gdyż go bodło szczęście biednego guwernera. Będąc sam z siebie niezadowolony zazdrościł przez chwilkę Alfredowi, a potem zawołał nagle dosyć szorstkim głosem, tak, iż przestraszony Lindau od książki się zerwał:

— Zdaje się, że pan sobie tutaj założyłeś mieszkanie?

— Tak jest, panie baronie, odrzekł Alfred, na me prośby kazała mi przyrządzić pani baronowa pustelnią na mieszkanie.

— Przykro mi bardzo, iż pana znowu wypędzić z niego muszę. Pustelnia będzie mi potrzebną, gdyż wkrótce urządzam zabawę w domu i parku. Pani baronowa każe panu przyrządzić pokój we willi.

Po tych słowach skinął baron lekko głową na pożegnanie i podążył dalej. Alfred zacisnął pięść, w głębi duszy życzył on temu dumnemu człowiekowi upoko-

rzenia, a przelatując myślą do baronowej pytał się, czy się miał poczuwać do jakichkolwiek zobowiązań wobec takiego człowieka. Gdy młodzienca nachodziły podobne myśli, czy to odnośnie do barona, lub jego żony, zwykł on był mimowoli udawać się do Marji i Van der Sluy'a do których przylgnął i którzy do ździwienia prędko umieli ukoić wszelkie wzburzenia i namiętności, które się budziły w jego duszy w domu barona. Pośród tych ludzi i ich kwiatów przemieszkiwała mądrość spokojna i uspakajająca, toż i tym razem przymknął Alfred książkę i zwrócił kroki ku kwiatowemu ogrodowi.

W drodze spotkał młodzieniec Van der Sluy'a, który klęczał na ziemi, przysypując nią starannie korzonki młodego drzewka. Skoro ogrodnik Alfreda ujrzał, uśmiechnął się, a potem ruszył ramionami. Już przedtem podrażniony młodzieniec zatrzymał się i zapytał dosyć stanowczo:

— Co pan myślisz, panie Van der Sluy? Pan nie zwykłeś uśmiechać się bezmyślnie i ruszać ramionami, gotów jestem każdej chwili usłyszeć od pana jakąś nową naukę.

— Czyż dotychczasowe nauki były tak mało warte? zapytał ogrodnik i dodał, nie czekając na jego odpowiedź. Uśmiechnąłem się i ruszyłem ramionami, bo to czynię zawsze, ilekroć widzę człowieka, osobliwie młodego z zapłonioną twarzą i idącego tak spiesznie jak pan. Gdyby się każdy i w każdej chwili nad tem zastanawiał, jak po upływie lat, a nawet tygodni i dni będzie sądził o chwilowej boleści, lub gniewie, natenczas z pewnością tylko nie wielu ludzi pędziłoby z wy-

razem takiej dzikości i gniewu na twarzy jak pan w tej chwili. Widzi pan, my ogrodnicy musimy wśród pracy o tem myśleć, co się z wszystkiem stanie po tygodniach i miesiącach. Zresztą i gniew ma swoje dobrą stronę jak burza na wiosnę. Tylko głupiego jedwabnika nawalnica z grzmotami tak dalece przestrasza, iż porzuca wszelką robotę, ależ to przecie jest tylko robak mimo wszelkiego jedwabiu. Rozchodzi się tylko o to, co w człowieku gniew obudza.

— Ach, gdy się musi uczuć, że się służy... zaczął biadać Alfred z wyrazem zmartwienia w głosie.

— Całkiem słusznie! przerwał mu Van der Sluy, wszyscy służymy, chociaż właściwie nikt nie potrzebuje służyć. Zawrzeć ugodę i wypełniać powinności, to znowu jest rzecz zupełnie inna. Jużci, kto myślą wysoko sięga, ten musi służyć. Piękna mi to wysokość!

Mówiąc to potrząsnął ogrodnik głową i uśmiechnął się, nie podnosząc ócz do góry. Alfred uczuł się teraz jeszcze bardziej upokorzonym aniżeli przedtem przez barona, to też w milczeniu spoglądał na człowieka, który przed nim na ziemi klęczał.

— Gdy tak klęczę tutaj na ziemi, grzebiąc w niej palcami, mówił po niejakim czasie dalej Van der Sluy, jak gdyby był odgadywał myśli Alfreda, natenczas zdaję się być służącym; a przecież wiem, jak dalece jestem panem pośród mojego królestwa roślin. Zapewne, służę baronowi, ale w właściwy sposób, o którym się może kiedyś dowie.

Nagle zerwał się Van der Sluy z ziemi, stanął przed Alfredem i rzekł:

— Młodzieńcze! powierzę ci pewną tajemnicę: jeśli rzeczy tak dalej pójdą, jak idą dotychczas, natenczas ja stanę się panem tego wszelkiego przepychu, który pan naokoło siebie widzisz, nota bene, gdy zechcę!

Alfred wypatrzył się na niego ze zdziwieniem, nie wiedząc, co miał sądzić o ogrodniku; przez chwilkę ukazywały się mu jego uczciwość, albo jego rozum w wątpliwem świetle. Miałże Alfred przed sobą znowu ambitnego człowieka, gorszego aniżeli nim on sam był, któryby zdołał w danym razie posiąść nieznacznie jego mienie. Młodzieniec uspokoił się atoli szybko, gdy Van der Sluy tak dalej prawić począł:

— Naśladuj pan mnie w pracy, staraj się jako ogrodnik, pielęgnujący młode rośliny o przyszłość dzieci i matki. A teraz chodźmy dalej! Rad widzę pana przy kwiatach, które nas wielu rzeczy mogą nauczyć. Oto każdy z nich rośnie na swojem miejscu, usiłując stać się o ile możności pięknym. A gdy się stanie pięknym, natenczas jest nim nietylko dla siebie samego, ale i dla całego ogrodu, dla każdego człowieka. Pan powinieneś właściwie zostać ogrodnikiem, nie wyuczywszy się jakiegoś porządnego zajęcia, które człowiekowi wolność zapewnia. Różnego rodzaju wiadomości, to rzeczy piękne i dobre, ale potrzeba jeszcze do nich coś tak uchwytnego jak wypieczony chleb, coś takiego, o czemby można było powiedzieć: „To warte tyle a tyle!“

Zupełnie inaczej aniżeli przez barona upokorzony Alfred, podążył dalej z pochyloną głową do kwiatów i do Marji. Zrozumiał on teraz różnicę pomiędzy jałowem a zapładniającem upokorzeniem.

VI.

Rachunki.

Marją zastał Lindau w trzecim pokoju zielonego domu, a w tym pokoju nie był jeszcze nigdy. Siedziała ona przy stole, zarzuconym wielkiemi, w płótno oprawionemi. po rogach mosiądzem okutemi księgami, które zapełnione liniami i cyframi, na pierwszy rzut oka przedstawiały się jako książki handlowe. Marja miała pióro za uchem i zagłębiona była w dodawaniu liczb, wypisanych na jednej stronnicy księgi. Skinieniem prosiła Alfreda, aby jej nie przeszkadzał i usiadł sobie na ogrodowem krześle. Naokoło ścian umieszczone były w pokoju półki, na których się znajdowało niezliczone mnóstwo woreczków z próbkami nasion z odpowiedniemi etykietami. W jednym kącie stała potężna ogniotrwała skrzynia na pieniądze, z żelaza. Marja powstała raz od zajęcia, otwarła ją i wydobyła z niej paczkę papierów które były wekslami, i których kwoty i daty ona do osobnej księgi wpisywała. Dziwne uczucie ogarnęło duszę Alfreda, gdy widział tę dziewczynę, która się mu dotychczas wydawała spokrewnioną z kwiatami, Sakuntalą, zatrudnioną jakby któryś z najzwyklejszych buchalterów. Z pewnym rodzajem poszanowania spoglądał on w miluchną twarzyczkę Marji, która, pochylona nad księgami wymawiała ciągle po cichutku tylko same liczby i liczby, a przecież wrodzonego wdzięku przez to nie utracała. Owszem ta powaga, to prozaiczne zatrudnienie dodawały tylko uroku jej lubej dziecięcej twarzyczce. Jeszcze bardziej zdziwił się Alfred, gdy mu Marja pod-

sunęła księgę, prosząc go, aby jej dopomógł w zliczaniu pewnego szeregu cyfr. Były to dochody z ostatniego miesiąca w gotówce i liczyły się na dziesiątki tysięcy. Następnie miał on do zliczenia pewną ilość weksli, których spłatę miano otrzymać najbliższego tygodnia, ogół kwot, objętych nimi wynosił znowu tysiące. Weksle zaś i przekazy pieniężne pochodziły z najrozmaitszych zakątków Europy, a nawet Ameryki i Australji. Alfred wglądnął w olbrzymio rozgałęziony obrót interesów i nie mógł się powstrzymać od objawienia zdziwienia.

— Tak, powiedziała Marja, mój ojciec jest jednym z największych ogrodników, handlarzy, w całej Europie. Postwarzał on formalnie nowe kwiaty i wyhodował z wzgardzonych i nieznanych nasion, rośliny, za które mu setkami płacą. Atoli nie traćmy czasu, rachujmy! Jutro pierwszy dzień nowego miesiąca, a ja się opuściłam nieco w ostatnich chwilach.

Siedzieli tedy oboje długi czas przy sobie, zliczali, rachowali i odpisywali cyfry jakby dwaj najsumienniejsi kantorzyści, którego z wielkich domów handlowych, a Alfred, zachęcany od czasu do czasu spojrzeniem i uśmiechem Marji, znalazł w nowem zajęciu i poufałem obcowaniu z piękną i pracowitą dziewczyną tyle szczęścia, iżby przed godziną nie był uwierzył, że jeszcze tego samego dnia mógł być tak szczęśliwym. Gdy Marja wreszcie zamknęła książkę i oświadczyła, że robota już skończona, prosił ją Alfred, aby mu jeszcze kiedy pozwoliła pomagać jej w rachubie. Marja uśmiechnęła się i podała mu rękę na znak zgody. Alfred trzymał jeszcze tę pulchną rączkę, a ona mówiła:

— Zliczanie, rachowanie i odpisywanie cyfr znudziłyby pana w krótkim czasie, wpisywanie do ksiąg nazw kwiatów, których się nie zna, musi być także bardzo przykrem. Powinienbyś mi pan czasem pomagać tutaj w ogrodzie, mnie, albo memu ojcu, ponieważ pani baronowa dotychczas porucza panu dzieci tylko na tak długo, jak długo je pan uczysz, zostaje więc jeszcze tak wiele wolnego czasu, iżbyś się pan mógł nauczyć czegoś pożytecznego.

— Nauczyć się czegoś pożytecznego? zawołał Alfred, pani mówisz zupełnie to samo, co ojciec. Bez wątpienia musiałaś pani z nim już rozmawiać o mej niedostatecznej znajomości przyrody, tudzież o mych bezcelowych zabiegach i nauce.

Marja popadła w chwilowe zakłopotanie i zarumieniła się. Potem atoli wypatrzyła się na niego dobrodusznie i rzekła:

— Tak, to prawda! Mój ojciec sprzyja panu, a ponieważ sztukę, której się poświęca, przenosi nad wszelkie inne sztuki, przeto sądzi, że ona człowieka musi uszczęśliwiać, radby był tedy każdemu, komu tylko dobrze życzy, zapewnić to szczęście.

Alfred zamyślił się głęboko i przypomniał sobie zdanie z „Baśni Goldenera“: „Życie wśród kwiatów i róż wydawało się mu pięknem!“ Szepnął więc półgłosem:

— Nie upatruję przyczyny, dla której nie miałbym się na to zgodzić, wolnego czasu mam dosyć, i cóż to zaszkodzi!

W tem ozwał się z willi głos dzwonka, nawołujący

do obiadu. Zdziwiony Alfred spojrzał na zegar, wśród prozaicznego zajęcia w zachowaniu i odpisywaniu zeszedł mu czas tak szybko, jakby się był znajdował w ogrodzie Armidy.

— Żegnam, do widzenia! zawołał młodzieniec i uścisnąwszy rękę dziewczyny zwrócił się ku drzwiom. Tutaj atoli zatrzymał się nagle, jakby dręczony jakąś niemiłą myślą.

— Marjo! zawołał z wyrazem trwogi na twarzy.

— Co panu brakuje, skąd ten przestrach na pańskiem obliczu?

— Wpadło mi teraz na myśl, jak wielkie pieniężne kwoty do ksiąg powciągaliśmy, wglądnąłem w prawdziwie olbrzymi interes.

— A więc to, zawołała figlarnie Marja, no, i cóż w tem tak strasznego?

— Pani, odrzekł, zająkując się Alfred, pani jesteś nadzwyczajnie bogatą, posażną dziewczyną!

Marja rozśmiała się w głos i powiedziała:

— Pan wypowiadasz to w taki sposób, jak gdybyś się pan naraz we mnie zbrodniarki dopatrzył!

— Tak, to osobliwsza rzecz, odrzekł Alfred znowu nieśmiało i potrząsnął głową, nie wiem, co myślę, co mam powiedzieć... ale...

Marja pokraśniała jak kalina, i gdyby Alfred nie był spuścił w dół óczy w zakłopotaniu, byłby był spostrzegł, z jaką miłością dziewczyna spoglądała mu w twarz w tej chwili. Poufale, jakby był jej bratem, oparła rękę na jego ramieniu i rzekła na pół cichym głosem:

— Nie lękaj się pan mnie jako bogatej spadkobier-

czyni, znaczny majątek, jaki mój ojciec gromadzi, gromadzi on nie dla mnie, lecz dla drugich, twierdząc, że on do nich należy, i że go kiedyś będą potrzebowali. My jesteśmy szczęśliwymi ludźmi, gdyż niepotrzebujemy takiego majątku.

Twarz Alfreda wypogodziła się znowu, patrzał on dziewczynie w oczy, zdawało się mu, że ta osobliwsza istota powierzyła mu w tej chwili bardzo ważną, wzniosłą tajemnicę. Po głowie snuł się mu cały szereg myśli, wyobrażeń i postaci, odgadywał on teraz wiele dotąd nieznanych rzeczy, nie mogąc ich atoli należycie pojąć i uporządkować. Z rozbudzonem uczuciem w sercu zwrócił nagle w bok głowę, tak, iż się mu udało dotknąć ustami ręki Marji, potem pospieszył do willi i do stołu.

Nie miał już czasu Alfred do przebrania się jak zwykle przed objadem, zdawało się mu też, że to zauważył baron, który, wchodząc do jadalni na niego okiem rzucił. On zaś sam spostrzegł, jużci nieco za późno, że na palcach miał kilka czarnych plam atramentowych. Mimoto usiadł do stołu i powiódł nieco wyzywającem spojrzeniem po towarzystwie, do którego także należał przybyły tymczasem na wezwanie barona hrabia Aureliusz Kamiński. Z wyjątkiem Matyldy wydawali się Alfredowi stołownicy okropnie nudnymi i zakłopotanymi, jak gdyby krzesła, na których siedzieli, miały się z nimi lada chwili załamać. Porównywał on ich rozmowę o stanie powietrza, nowinach z miasta i ze dworu, z słowami ogrodnika i jego córki, i spoglądał przytem na piękną lecz chłodną twarz Gabrjeli, uśmie-

chającej się na wszystko ironicznie, a przecież przysłuchującej się każdej drobnostce tak uważnie, jakby była na coś czyhała. Cieszył się tedy w duchu Alfred, że się nie potrzebował mieszać do ich rozmowy. Sama tylko baronowa obudzała w nim uszanowanie, a to dlatego, ponieważ obojętnie przysłuchiwała się rozmowom. Bez wątpienia był baron roztargniony, a kto dobrze uważał, mógł był poznać, że tylko w celu pokrycia swego roztargnienia brał udział w rozmowie. To też tem bardziej ździwił się Alfred, gdy on mimo roztargnienia podczas wet długo szukał w konfiturach jak najpiękniejszego owocu, a znalazłszy go, chwilkę z hrabią Kamińskim rozmawiał i nieznacznie wyszukaną bakalią złożył na talerz Gabrjeli, siedzącej obok niego po lewej ręce. Gabrjela skrzywiła się i nietknąwszy podanego sobie owocu, wybrała sobie inny z kryształowej czarki, która przed nią stała. Fryzen przeprosił towarzystwo, tłumacząc się potrzebą bezzwłocznego pomówienia z przyjacielem i wziąwszy hrabiego pod ramię zeszedł z nim do ogrodu.

Przybywszy nad sadzawkę obejrzał się Fryzen, czyby nie było kogo w pobliżu, a potem rzekł z pewnem wzburzeniem, którego nie mógł ukryć.

— Kochany przyjacielu, znajduję się w kłopotach i to w wielkich kłopotach. Moje wielkie przedsiębiorstwo, zawiązane z Towarzystwem nawigacyjnem nie powiodło się wcale. Sprawa z pokładem węgla w pobliżu okazała się jako złudna, a ja kazałem tam zakupić znaczny obszar ziemi, który się okazał bezwartościowym. Zamówiłem nadto w Anglji poważną ilość parowych stat-

ków, a będę mógł z nich najwyżej dwa zatrudnić, na dobitek pojawia się w tej samej przystani i tej samej dzielnicy wód konkurencja Anglików, której sprostać nie podołam. Prawie połowa mego majątku ugrzęzła w tem przedsiębiorstwie, a ja jąłem się go z taką pewnością siebie, jakiej teraz sam nie pojmuję, jużci zachęcał mnie do tego rząd, który mnie teraz opuści. Także moim fabrykom i wyrobom nie sprzyja obecna pora, od pół roku nie przynoszą mi moje warzelnie cukru wskutek zaprowadzenia nowej taryfy ani grosza zysku i wyciągną mi z kieszeni, jeśli się ich nie będę mógł pozbyć, olbrzymie pieniężne kwoty. Jeśli je zwinę, natenczas pozbawię wartości wielką ilość nieruchomości, które mnie krocie kosztowały, a nadto zmarnieje cała przyszła zbiórka buraków.

— Cóż tu począć, czem mogę panu dopomódz? zapytał hrabia Kamiński wśród objawu szczerej chęci wyświadczenia mu jakiej sąsiedzkiej przysługi. Mój majątek...

— Dziękuję panu i znam go, nie zaradziłby on złemu. Nie, potrzeba tutaj innej pomocy, musisz mi pan sprowadzić w dom księcia Wiktora. Posiada on znaczne sumy, ulokowane w moich interesach, jeśli się tylko domyśli w jakiem się znajduję położeniu, natenczas wycofa je niezawodnie z przedsiębiorstwa, a za jego przykładem pójdą inni członkowie książęcej rodziny, za nimi przemysłowcy i... moja ruina gotowa! Potrzeba temu zapobiedz. Jest on także wszechwładnym w dziale finansowym i najwięcej wpływowym mężem z pośród książąt. Należy go tedy znowu zwabić

do mego domu, urządzę w tym celu bal na jego cześć. Ponieważ atoli sprzyja panu, więc panu będzie najłatwiej docisnąć się do niego. Udaj się więc pan do niego i załatwij tę sprawę. Jeśli przyjmie odemnie zaproszenie na bal, jeśli się znowu pojawi pod moim dachem, natenczas nie wycofa zaraz potem z interesu swych pieniędzy, a nawet jest rzeczą możebną, że pozyska sobie dla mnie ministerstwo handlu, tak, iż rząd weźmie na siebie przedsiębiorstwa, któreby mnie zrujnowały.

— Ależ kochany baronie, zawołał zdziwiony hrabia, ja pana nie pojmuję. Pan potrzebujesz mojej protekcji u człowieka, u którego pan sam mnie z takiem powodzeniem protegowałeś? Czyż go nie widziałem u pana jeszcze z końcem zimy, obcującego z panem tak poufale, jak gdyby był przyjacielem domu? Wszakże każdy o tem wie, że was obydwóch łączą węzły zażyłości.

Baron Fryzen był w wielkim kłopocie.

— Dziwi mnie, rzekł on, zatrzymując się w chodzie, że pan niczego nie zauważyłeś. Moja żona jest tak cnotliwa, iż nikomu na myśl nie przyjdzie, aby się ktoś do niej mógł zalecać.

— Wypowiadasz pan to, rzekł z uśmiechem hrabia, jak gdybyś się pan chciał na to użalać.

— Nie użalam się na to, atoli mieszczańskie, owszem, wypowiadam to otwarcie, nietaktowne zachowanie się Matyldy doprowadza mnie do rozpaczy, i ona to winna, że się obecnie znajduję w tak krytycznem położeniu, że mi może trudnem będzie, sprowadzić znowu księcia do mego domu. Można być kobietą cno-

tliwą, a przecież nie obrażać zalecającego się księcia w ten sposób, iżby aż od domu stronił. Jużci należy w tej mierze być poniekąd damą światową, jaką ona niestety bynajmniej nie jest. Jednem słowem: tak dalece nie rozumiała ona jego zalecanek, że się tem obraził, musiałem to już niejednokrotnie odczuć, on zaś nie pojawił się już nigdy w moim domu od ostatniego balu.

Hrabia Kamiński potrząsnął lekko głową i rzekł:

— Kochany baronie, czyż nie byłoby lepiej zostawić księcia Wiktora w spokoju?

Fryzen zwrócił się nagle ku niemu i odrzekł z wielką stanowczością:

— O takich rzeczach trudno rozprawiać. Dowiedz się pan jeszcze o jednej prawdzie, a potem uczyń pan to, o co prosiłem. Jam jest człowiekiem tonącym, dlatego chwytam się w s z y s t k i e g o, co mnie może ocalić. Może to uczynić jedynie sam książę Wiktor i dlatego wypada go koniecznie zwabić znowu do mego domu. Jeśli się to nie uda, czego się od niego spodziewam, natenczas czeka mnie zupełna ruina, upadnie raz na zawsze dom Fryzenów, który się wzniósł tak wysoko w nadziei jeszcze dalszego wzniesienia się. Jeśli mi tedy pan jutro nie przyniesiesz pomyślnej odpowiedzi, natenczas popróbuję szczęścia na giełdzie.

Po tych słowach nie czekając na odpowiedź wyszedł baron na mały pagórek, z którego wyżyny można było przejrzeć najznaczniejszą część parku. Hrabia zauważył ze zdziwieniem, jak ten prawie jeszcze wzburzony człowiek na szczycie pagórka nagle się za-

trzymał i z największą uwagą ku jednemu punktowi oczy nieruchomo zwracał. Wyszedł więc za nim Kamiński i patrzał w tę samą stronę. Tam ku laskowi zdążali hrabia Egon z Gabrjelą, zajęci widocznie ożywioną rozmową.

Na ich widok zawołał baron Fryzen drżącym głosem:

— Umizga się on do niej z każdym dniem gorliwiej, ten głupiec, fantasta! Gabrjela jest zanadto roztropna, aby miała przyjąć propozycje tego marzyciela! Pan wiesz, dodał potem, zwracając się do hrabiego Kamińskiego, że go książę z pewnością wydziedziczy, i że książęcy tytuł wraz z majoratem przejdzie na dalekiego krewnego! Dwór pochwala to postanowienie, wszak taki tytuł i takie bogactwa nie można przelać na człowieka, który się w ten sposób jak Egon skompromitował! Jeśli on chce być demokratą, niechże będzie także filozofem i kontentuje się swoim folwarkiem i pięcioma tysiącami renty.

Hrabia Kamiński ruszył ramionami, myśląc sobie w duchu:

— Jakżeż może ten człowiek w tak krytycznem położeniu zajmować się jeszcze podobnemi rzeczami i mówić o nich z taką namiętnością i goryczą?

Fryzen nie zważał bynajmniej na jego ruchy i mówił dalej:

— Wszystko byłoby inaczej wypadło, gdyby moja żona podobną była do Gabrjeli, albo jeszcze lepiej, gdyby Gabrjela była moją żoną!

— Bez wątpienia, rzekł hrabia Kamiński z zachmurzonem nieco czołem, potrafiłaby Gabrjela lepiej przy-

kuć do siebie księcia i usidlić go swemi wdziękami, ale czyby panu wtedy było rzeczą miłą, gdyby się on do niej zaczął umizgać?

— Zrzuciłbym go w takim razie na dół ze schodów, *tout prince qu'il est!* zawołał baron namiętnie, uwydatniając zamierzony akt wymownem skinieniem ręki ku stopom pagórka.

VII.

Szczęście Edenbalu.

W willi baronostwa Eryzenów panował ruch ogromny, gdyż całe górne piętro, parter głównego zabudowania i jednego pawilonu przyrządzano na bal, który baron wydawał na cześć księcia Wiktora. Pustelnią w jodłowym gaiku, z której się Alfred wyniósł do pokoiku w lewem pawilonie, zamieniono na bufet, przy którym wystawiono małe przybudowanie do przechowania w niem jadła i napojów. Drugi bufet wystawiono w angielskim ogrodzie, tudzież za krzakami ukryto orkiestry, zkąd miała muzyka wśród nocy zabawiać mile ucho, bawiących się w willi gości. Niedaleko pustelni rozbito obszerny namiot, pod którym miały się odbywać tańce w razie, gdyby pogoda sprzyjała. Sam dom zapełniono kwiatami, a ponieważ pora roku na to pozwalała, musiał Van der Sluy wydać z cieplarni rośliny z najgorętszych stron świata w celu przyozdobienia niemi pokojów, krużganków, schodów i przedsionków. Główną

salę z wielką i małą orkiestrą musiano zamienić w czarodziejski ogród i użyć w tym celu wszystkiego, co tylko pięknego i wspaniałego ziemia posiada od wysokich Alp aż do brzegów Gangesu. Uroczystość odroczono na dzień historyczny w dziejach monarchii, aby można było przy tej sposobności wystawić w wielkiej sali marmurowe popiersia najjaśniejszych państwa i obstawić je suto najprzepyszniejszemi roślinami. W celu należytego oświetlenia tego przepychu, sprowadzono z daleka strumień gazu, który miał zasilać setki płomieni, nadto pozawieszano we wszystkich krzakach i chodnikach w ogrodzie, nawet u wierzchołków najwyższych drzew różnokolorowe latarnie, w podwórcu zaś przed willą i wzdłuż jego ogrodzenia poprzybijano starodawnym zwyczajem żelazne pierścienie na pochodnie i smolne wieńce. Po domu roiło się mnóstwo murarzy, tapicerów, ogrodników, cieśli i innych rzemieślników wszelkiego rodzaju. Pośród nich obok Van der Sluy'a który wszelkiemi robotami kierował, zatrudnioną była Marja. Tym razem wolno jej było zaglądać do willi, ponieważ nie było zresztą nikogo, ktoby umiał tak zręcznie jak ona wić wieńce, girlandy, sporządzać bukiety i z równym gustem posługiwać się nimi przy dekorowaniu na bal willi.

Właściwych mieszkańców domu nie było widać. Baron bawił w mieście i zaglądał do willi tylko na godzinkę, aby cię przekonać o postępie przedsiębranych robót. Tak i dzisiaj zjechał on do letniego mieszkania tylko na chwilkę i zabrał z sobą przy tej sposobności Gabrjelę do miasta, aby sobie w jego o-

czach wybrała suknię i biżuterje na bal. Baronowa przesiadywała wraz z Alfredem u łoża chorego starszego synka Odona. Po upływie trzech dni wszelkie niebezpieczeństwo, zagrażające jej dziecku, wprawdzie minęło, lecz troska nie opuszczała mimo to jej duszy. Nawykła ona w ogóle od pewnego czasu, widzieć wszystko w ponurem świetle i z trwogą spoglądać w przyszłość, jakkolwiek dotychczas żyła swobodnie, nie troszcząc się o dzień jutrzejszy. Gdy przypadkiem musiała przechodzić przez pokoje, w których się uwijał tłum robotników, chwytała się za głowę i wynosiła się z nich jak najspieszniej. Raz, kiedy stamtąd powróciła do swego pokoju, rzekła do Alfreda:

— Mój kochany panie Lindau, czy się też i panu nie wydają nienaturalnemi takie przygotowania na bal, w chwili, gdy tutaj dziecko takie chore leży?

— Odonowi, odrzekł Alfred, nie zgadzając się na wyrzut, jaki się mieścił w jej słowach, nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo, powstanie on całkiem zdrów w dzień uroczystości.

— Prawdopodobnie, ale, ale i tak zdaje się mi w ogóle od niejakiego czasu, jak gdybym żyła pośród nienaturalnej, przygnębiającej atmosfery. Wszystko, co tutaj ludzie czynią, co się około mnie dzieje, wydaje się mi być tak tajemniczem, pospiesznem. Nie wierzę temu, jak gdyby umysły były tak uroczyście, albo tak wesoło usposobionemi, jakby wypadało wnioskować, patrząc na te tutaj przygotowania.

Alfred uspokajał ją, twierdząc, że jej obawy były

tylko następstwem trosk w ciągu ostatnich dni i czuwania w nocy u łoża chorego dziecka.

— Być może, mówiła ona, atoli i przedtem nachodziły mnie te same wątpliwości. Może to było przeczucie choroby dziecka?

— Tak, może, z pewnością to było! pocieszał ją Alfred, ponieważ atoli niebezpieczeństwo teraz minęło, powinna pani baronowa porzucić podobne myśli, a najlepszym ku temu środkiem byłaby przechadzka na wolnem powietrzu i ja pozostanę przy Odonie i dopilnuję chłopczyka sumiennie.

— Jestem tego pewna, rzekła baronowa z uśmiechem, w ciągu tych kilku dni byłeś pan dla dziecka drugą matką, nie zapomnę o tem nigdy! Bez pańskiej pomocy byłabym popadła w rozpacz, i sam Odo poznał bardzo dobrze pańską dobroć, gdyż nawet w gorączce przywoływał pana do siebie.

Mówiąc to podała baronowa Alfredowi rękę, na której on złożył przeciągły pocałunek. Nie usunęła ona swej ręki, gdyż poczuła, że ten pocałunek był zupełnie odmienny od pierwszego, który ją tak zatrwożył. I tak też było w istocie, a jeśli go Alfred zbytecznie przedłużył, to uczynił to tylko dlatego, aby nie podnosić twarzy i nie ukazywać jej łez wzruszenia i współczucia.

— Tak! odezwała się baronowa, a miało to oznaczać tyle, co: „Taki pocałunek jest dozwolony“. Zdawało się jej także, jakoby ten drugi pocałunek wymazał był następstwa pierwszego, to też dodała z wszelką swobodą:

— Jakżeż panu wdzięczną jestem za to, iż mogę pomówić z panem o niejednej rzeczy, którejbym drugim nie mogła objawić! Gabrjela jest z pewnością dobra, ale ona nie posiadała nigdy rodziny, dla niej pewne troski i pewne objawy miłości są tajemnicą. Obawiam się, aby jej nie znudzić, ona zaś nie znajduje najmniejszego upodobania w małych dzieciach i tem wszystkiem co je obchodzi.

Tutaj rozśmiała się baronowa i mówiła dalej:

— Czy pan zauważyłeś, jak ona niezręczną była, gdy w czemś czasem Odonowi usłużyć i nam dopomódz chciała. Biedna Gabrjela! Jej chęci były najlepsze i szczere, toż z pewnością musiało ją to boleć, gdy się przekonała, że była tylko przeszkodą, i postanowiła usunąć się całkowicie. Teraz już kilka dni nie była tu w pokoju, a ponieważ ja znowu nie chodzę do jadalni, przeto nie wiem nic, co się z nią dzieje. Wczoraj jadła obiad z moim mężem w mieście, a dzisiaj znowu tam pojechała, zajęta zapewne troską o moję balową toaletę, gdyż ja nie mam czasu o niej myśleć.

Alfred przypomniawszy sobie przestrogę hrabiego Kamińskiego, że „lunatyczek nie powinno się budzić!“ nie odrzekł nic zgoła, odezwał się atoli nagle Odo, który się uważnie przysłuchiwał rozmowie:

— Ja nie mogę ścierpieć Gabrjeli!

— Ja także! dodał mały Pawełek, który się bawił u okna.

— Przysłuchajcie się też tym dzieciom, rzekła z uśmiechem baronowa, one się już ośmielają kogoś nie módz ścierpieć! A dlaczegóżto nie możecie znieść Gabrjeli?

— Ponieważ ona nie może znieść Odona! odrzekł Pawełek.

— A ty Odonie! dlaczego? zapytała baronowa drugiego synka.

— Bo, bo... mówił powolnie Odo, ja nie wiem... bo nasz tato zawsze... nie wiem...

Alfred przeląkł się, gdyż wiedział, co mogą ździałać instynkt i domyślność dzieci, gdy czują, że się na nie nie zwraca uwagi. Miał już tedy coś powiedzieć, aby przerwać mowę chłopcu, i nachylił się ku baronowej z rumieńcem trwogi na twarzy, gdy do pokoju jakby zbawczy anioł weszła właśnie Marja z wspanialym bukietem w ręku. Przez chwilkę stała ona w zakłopotaniu w progu, przyglądając się nadobnej grupie, składającej się z matki. dzieci i nauczyciela, dziewczyna pobladła nieco i zgrabnie, jakby się była unosiła w powietrzu, postąpiła kilka kroków naprzód. Odzyskawszy po chwilce spokój duszy, rzekła do baronowej:

— Ocaliłam te piękne kwiąty, któreby i tak aż do dnia balu były zwiędły, i przynoszę je Odonowi. Są one nieszkodliwe i mogą się znajdować w pokoju chorego.

Mówiąc to włożyła Marja w istocie przepyszny bukiet w wazon, który jako rzecz drogocenną z salonu tutaj dla bezpieczeństwa przeniesiono. Alfred rozumiał, co się w jej duszy działo, a to tembardziej, ponieważ nie ukrywał przed sobą, jak dalece jego serce chwiało się w skłonności: raz do niej, drugi raz do baronowej. Mimowolnie powstał młodzieniec i zbliżal się do Marji, lecz zanim doszedł do wazonu, Marja była już

u drzwi, i zanim jej Odo mógł podziękować, a baronowa przemówić, wyszła spiesznie z pokoju.

Czyż jej zachowanie nie było dziwne? Musi ją jakaś niezwykła myśl trapić.

Alfred oparł głowę o wazon, który dobroczynnie chłodził jego rozpalone czoło, i wyczytał na nim wyraz: „Szczęście“, który był na białem tle naczynia wyryty złotemi literami i okolony również złotemi liśćmi i promieniami.

W tem zajechał jakiś powóz na dziedziniec. Pawełek wspiął się do góry na palcach i zawołał:

— Tato i Gabrjela powrócili! Ona ma w ręku ładne pudełko.

— Zapewne kupił jej tato, rzekł Odo, różne piękne rzeczy na bal, z pewnością piękniejsze aniżeli tobie mamo!

— Zdaje się mi doprawdy! powiedziała z uśmiechem baronowa, że ten chłopiec Gabrjeli zazdrości. Cóż ci winna Gabrjela?

— Wszak ci już, mamo, powiedziałem, odrzekł z niecierpliwością chłopiec, że jej znieść nie mogę. Tato lubi ją zanadto. Kiedy byłem jeszcze zdrowy, byłem raz w gaiku, tam siedziała Gabrjela na mchem porosłej ławce, a tato...

Alfred wykonał potajemnie ruch: trącił lekko wazon, tak, iż się rozpadł na ziemi w tysiąc kawałków, Odo przeląkł się i przestał dalej opowiadać, Matylda zerwała się blada i zatrwożona i zawołała:

— Ach, cóżeś pan uczynił. Mój mąż tak cenił ten wazon, przywiązał się on zabobonnie do niego, jakby

do talizmanu i nazywał go swem „szczęściem", „szczęściem Edenbalu!" Otrzymaliśmy ten dar od najjaśniejszych państwa w dzień naszego ślubu... ach, co teraz powie Feliks!

Narzekając w ten sposób z założonemi rękoma i pochyloną głową spoglądała baronowa z zakłopotaniem na szczątki drogocennego naczynia. Alfred zaś cieszył się, że przerwał chłopcu opowiadanie niefortunne, i dlatego nie trapił się urządzoną szkodą, jakkolwiek dobrze znał zabobonne przywiązanie barona do tego osobliwszego wazonu. To też tylko z wielkiem przezwyciężeniem zdołał go rozbić, lecz zaprzysiągł sobie w duszy ocalać jak najdłużej spokój, czy też szczęśliwe zaślepienie Matyldy. Jużci teraz, kiedy ujrzał na ziemi porozrzucane szczątki wazonu, pomyślał sobie, że wraz z roztłuczonem naczyniem rozchwieje się w niwecz cały jego stosunek do domu, do tych dzieci, które pokochał, do tej cnotliwej, szlachetnej baronowej, a gdy sobie jeszcze przypomniał Marją i to, co się przed chwilą w jej duszy działo, popadł w głęboki smutek i ową rzewną zadumę, jakiej się zwykle oddawają młode umysły, kiedy się im zdaje, że im los przeznaczył ważną rolę w życiu. A Alfred wierzył w to silnie w tej chwili, i powiódł zafrasowanem okiem po matce i dzieciach, jakby po nieudolnych, opuszczonych istotach, poruczonych jego opiece! I czyliż im rzeczywiście nie wyświadczył w tej chwili wielkiego dobrodziejstwa, czyliż nie ocalił tej kobiecie spokój duszy, czyliż nie przeszkodził dziecku w poróżnieniu matki z ojcem? Jużci była to tylko łatanina, lecz ileżto ludzi żyje taką łata-

niną aż do grobu, chociaż sami o tem nie wiedzą!

Takiemi myślami zajęty przypatrywał się Alfred szczerbom z wazonu, leżącym na ziemi, gdy się nagle drzwi otwarły, a do pokoju wszedł baron z jakiemiś papierami w ręku. Zaledwo atoli próg przekroczył, zatrzymał się jak wryty i patrzał z przerażeniem na swój ulubiony potłuczony wazon.

Baronowa zwróciła się mechanicznie ku niemu, nie mogąc słowa wymówić, do niej przybiegł Pawełek i zaczął płakać, Odo spoglądał z trwogą to na ojca, to na nauczyciela.

— Moje szczęście, westchnął wreszcie baron, przyciskając papiery do czoła z zamkniętemi oczyma i spuszczoną głową, smukły, krzepki mężczyzna postarzał się o kilka lat w jednej chwili. I Alfred, który na jego powitanie powstał, spuścił głowę, litując się nad rozpaczą dumnego człowieka i nad kobietą, która na jego widok zapłakała i jasną główkę płaczącego synka z miłością do sukni tuliła. Atoli tylko chwilkę trwało to zwątpienie. Ku zdziwieniu Alfreda odzyskał wnet baron przytomność, który starając się otrząść z przykrego wrażenia i zapanować nad sobą silnym głosem zapytał:

— Kto jest sprawcą szkody?

— Ja, panie baronie! odrzekł Alfred z mniejszą stanowczością, aniżeli sobie okazać ją w duchu postanowił.

— Pan nim jesteś? powiedział baron, spoglądając na Alfreda badawczo i potrząsając głową. Waść pan, panie Lindau, zdaje się mi już od dłuższego czasu, że mi jakiś złowrogi los nasłał pana do mego domu.

spiącej sarny. Marja siedziała na niskim stołeczku u nóg ojca, który ręką gładził jej bujne włosy. Kto znał tego szorstkiego, małomownego ogrodnika, ten nie byłby przypuszczał, że on mógł być tak czułym względem córki, której oddawien dawna usilnie się starał zastąpić wcześnie przez nią utraconą matkę.

Van der Sluy odłożył na bok holenderską lulkę, która mu już dawno wygasła, nachylił się potem ku córce i rzekł:

— Marjo! czy spisz?

— Nie, ojczulku, nie śpię.

— A możebyś poszła do łóżka?

— Nie, ojczulku!

— Zapewne chciałabyś sobie tutaj jeszcze długo tak siedzieć i rozmyślać o różnych rzeczach?

— Tak jest, ojczulku?

— Marjo, ty wzdychałaś przed chwilą kilka razy.

— Wzdychałam, ojczulku?

Van der Sluy zamilkł znowu na chwilkę, potem potarł sobie czoło dużą ręką, oglądnął się po izbie, nachylił się jeszcze więcej ku córce, objął jej głowę obiema rękami i rzekł tym samym spokojnym głosem:

— Jestemże ja dla ciebie ojcem Marjo?

— Tyś dla mnie dobrym ojcem! odrzekła córka, obejmując ręce ojca swojemi.

— I matką? zapytał znowu Van der Sluy.

Marja przycisnęła silniej jego ręce do swej głowy i milczała. I ojciec milczał jakiś czas, potem się odezwał:

— Nie dostaje ci teraz dobrej matki, moja Marjo. Przymknij oczy, i niechaj się ci zdaje, że to ona siedzi

teraz na mojem miejscu, trzyma twą głowę w swych pięknych, drobnych rączkach i przemawia do ciebie znanym ci dobrotliwym głosem, który mnie jeszcze czasami z kwiatów i krzewów dolatuje...

Tutaj urwał nagle Van der Sluy i zmienił głos znacznie.

— I cóżby mi ona powiedziała mój dobry ojcze? zapytała Marja.

— Powiedziałaby ci, Marjo, ty jesteś tak smutną!

— Prawda, takby powiedziała! potwierdziła córka.

— A ty cóżbyś na to odpowiedziała? zapytał Van der Sluy.

— Odpowiedziałabym. Tak jest, dobra mateczko!

— Onaby zaś dalej zapytała: A dlaczego jesteś tak smutną moje dziecko?

— Ja tego sama nie wiem ojczulku!

— Masz coś na serduszku, w serduszku... tobie się podoba młody człowiek... guwerner Lindau... ty go kochasz, o, kochasz go bardzo... To urodziwy, wykształcony, porządny młodzieniec.

— O tak, Bóg widzi, że on jest takim, zapewniała Marja.

— I dlatego się smucisz?

— Nie dlatego, odrzekła Marja z uśmiechem.

— A więc dlaczego?

— Widziałam go dzisiaj rozmawiającego z baronową z taką poufałością, a wiem, że ona się mu podoba i bardzo, wyczytałam mu to z ócz... a ona jest tak piękna... A potem, dodała Marja z pewnem wahaniem i usunęła głowę z rąk ojca, aby jej już nie mógł w twarz pa-

trzeć, a potem, przecieżby to było rzeczą bardzo brzydką, gdyby on miał kochać kobietę która ma męża.

Van der Sluy popadł w niemały kłopot, i gdyby w izbie nie było tak ciemno, możnaby było na jego twarzy odkryć coś nakształt rumieńca. Potrzebował w istocie czasu do zastanowienia się nad słowami córki, której potem z pewną przyganą odrzekł:

— Nie bądź też Marjo dziecinną i podejrzliwą! Czyż nie znamy doskonale baronowej? To dusza czysta jak łza, i chociażby ją Lindau kochał i bardzo kochał, to to ani jemu, ani tobie nie zaszkodzi wiele. Dobra to szkoła, kiedy się młodzieniec zbliży do dobrej kobiety i chociażby ją nawet do pewnego stopnia polubił, to to wyjdzie na korzyść nawet jego przyszłej żonie.

Marja potrząsnęła głową z niedowierzaniem i rzekła:

— Zdaje się mi, że ty tego ojczulku nie rozumiesz.

— Dajmy temu pokój, moje dziecko, odpowiedział Van der Sluy, czas nam to wyświeci najlepiej. Niepokoiłbym się o coś innego w razie, gdybyś miała istotnie kochać tego chłopca.

— I cóż to być może, mój dobry ojcze? zapytała zalękniona Marja.

— Nie wiem jeszcze dotychczas, co za człowiek z niego będzie. Uwodzi się on trochę próżnością, jest ambitny, ma w głowie pełno mrzonek i nie wie sam, czego chce. Taki junak jak on, może wyróść w życiu pięknym kwiatem, lub zamienić się w chwast nieużyteczny.

— O mój ojczulku, on ma serce szlachetne, zawołała gorąco Marja.

— A jakież masz na to dowody? zapytał ojciec.

Marja radaby była wyliczyć w tej chwili tysiące dowodów, świadczących o szlachectwie duszy Alfreda. Lecz cóż mogła ona więcej o nim wiedzieć w rzeczywistości nad to, co jej jego usta i oczy powiedziały? Nagle przypomniała sobie pewną chwilę i zawołała tryumfująco:

— Ach, gdybyś tylko i ty ojcze był razem ze mną widział, jak się on przeląkł, gdy nabrał przekonania, że ja jestem bogatą spadkobierczynią! Jakże się on uląkł twoich pieniędzy! Czy to już coś nie znaczy?

— Coś, ale, nie wiele! odrzekł ojciec... No, no, wkrótce ujrzymy go w zupełnie odmiennem świetle. Zanosi się u nas na złe rzeczy, w tym domu powstanie wnet dziki zamęt; wtedy będziemy mieli sposobność dokładniejszego poznania go i przekonania się o jego moralnej wartości.

— Jak to rozumiesz ojczulku? zapytała zalękniona Marja, na jakieto złe rzeczy zanosi się u nas?

— Są to smutne, bardzo smutne rzeczy, odrzekł Van der Sluy. Albo się grubo mylę, albo nadeszła wreszcie chwila, którą oddawna już przewidywałem. Pan Fryzen zdaje się mi być człowiekiem materjalnie zrujnowanym, cała świetna budowa jego bogactw jest podkopana, zagraża upadkiem. Jego fabryki zostały w tych dniach zamknięte, jego największa majętność poszła w zastaw, wiem to od tamtejszego ogrodnika, zdaje się mi, że na to tylko urządzają u nas bal, aby ludziom oczy zamydlić, a barona czeka pewna zguba, jeśli się nim rząd nie zaopiekuje.

— Na miłość boską! zawołała Marja, ależ rząd to pewnie uczyni? Wszak on nie dopuści zmarnieć tak wielkiemu domowi.

— Mała jest nadzieja. Dzisiaj rządzi szlachta, która nie cierpi takich dorobkiewiczów i pragnie ukazać światu, że ich stanowisko jest silniejsze i trwalsze od wszelakich pieniędzy i przemysłu.

— Biedna baronowa, biedne dzieci! narzekała Marja.

— Tak, tak, biedna baronowa, biedne dzieci, muszą one przejść przez twardą szkołę, ale może ona będzie dla nich pożyteczniejszą, aniżeliby nią była szkoła, do jakiejby je był wprowadził dumny baron. Byłby on wykierował chłopców, elegancików, albo poruczników, a tak mogą jeszcze z nich być porządni ludzie.

— Ojczulku, a nie możesz co pomódz? błagała Marja. Wszak masz pieniądze, wiele pieniędzy; nikt tego nie wie tak dokładnie jak ja.

— Ach, ty pocieszna dziewczyno! odrzekł z uśmiechem Van der Sluy, moje pieniądze, to jakby konewka wody na czas, kiedy potrzeba obfitego deszczu z nieba Ale i tak dopomogę, o, dopomogę! Już od wielu lat przygotowuję tę pomoc, niech cię o to głowa nie boli. Dobranoc!

W ciągu tej rozmowy ojca z córką spadł na ziemię drobny, ciepły deszczyk, który słowikom w śpiewie nie przeszkodził, a pokrzepił rośliny, któremi obstawiono naokoło willę na czas balu. Gdy nadszedł nazajutrz pogodny, słoneczny poranek, zabłysła umajona i w kwiaty przystrojona willa cudownym urokiem. W górę strzelały nadobnie wodotryski, z których jeden podrzucał

jakby balon złoconą kulę, która w świetle rannego słońca jaśniała jakby miniaturowa kopia szczęściem promieniejącego globu ziemskiego. Po marmurowej krawędzi wielkiej sadzawki przechadzały się swobodnie wesołe pliszki, inne znowu różnobarwne ptaki zlatywały się tutaj, aby się napić czystej wody, lub w niej wykąpać. Nawet łabędzie pozbyły się zwykłej zadumy i zapomniawszy o osobistej godności, igrając ścigały się z młodemi po wodzie.

IX.

W ciemnym korytarzu.

Prawdziwem wyszydzeniem blasku i szczęścia na tej ziemi była biedna kobieta w nędznej odzieży, która wśród pięknego zarania pojawiła się u zamkniętej jeszcze bramy letniego mieszkania Fryzenów z czworgiem dzieci, z których jedno na ręku dźwigała. To małe dziecko płakało właśnie, lecz otarło z ócz łzy, ujrzawszy wspaniałą willę i różnobarwnemi kwiatami przyozdobione tarasy i schody niższego piętra. Najstarszy nawet synek tej biednej kobiety odbiegł matki w swej radości i wsunąwszy rękę przez kraty chciał zerwać bliski kwiatek. Matka atoli nie zwracała bynajmniej uwagi na przepych, jaki się przed jej oczyma roztaczał, lecz oglądała się chwilami poza siebie, jak gdyby była wyczekiwała czyjegoś przybycia. Wkrótce też nadeszła powoli cała gromada równie jak ona biednych kobiet w

towarzystwie wielu dzieci, z których najmłodsze one na rękach nosiły. Zatrzymały się one przed bramą willi i spoglądały ku jej oknom, przysłoniętym jeszcze zazdrostkami i firankami. Od czasu do czasu słychać było płacz dzieci, które uspokoić starało się wiele młodych matek, gdyż widok dworu nakazywał im uszanowanie. Lecz przez to naraziły się one na naganę starszych matek, a osobliwie pewnej starej, do cyganki podobnej kobiety, która się nazywała Jagą, a była tak nędznie i dziwacznie odzianą jak jakie straszydło.

— I dlaczegoż tak krzyczysz i gniewasz się Jago? zapytała ją jedna z młodych kobiet... Wygadujesz na pana barona tak wiele, a przecież on ci pozwala od 12tu lat mieszkać w swej fabryce i warzyć z odpadków syrup, z którego ładny zysk ciągniesz. Gdybyśmy tylko wszystkie były tak ubogie jak ty, natenczas wstrzymanie robót w fabryce nie sprowadzałoby na nas takiej nędzy, a my nie potrzebowałybyśmy tak przestraszać panią baronowę. O, dobra to pani, czyż dla nas nie czyniła wszystkiego, co tylko mogła? Wspierała nas zawsze jak matka w nieszczęściu i chorobie. To też właściwie wstyd, że nachodzimy spokojny dom, gdy pan baron w mieście, a tutaj jest tylko sama pani baronowa. To ten chytry wiejski bakałarz wszystko tak umyślnie urządził.

— Rozumie się, odrzekła szydersko Jaga, inaczej przywołałby był zaraz baron wojsko i jużby było po krzyku. Teraz atoli możemy urządzić paradną „demonstracją“, jak się wyraził bakałarz.

Na głośne mowy Jagi i krzyk dzieci zeszedł z

góry ziewający lokaj ku bramie i zatknąwszy ręce w kieszenie, zapytał z pańską miną kobiety, zgromadzone przed willą:

— Czego wy tutaj chcecie?

— Chleba! zawołała Jaga.

— Chleba! powtórzyły za nią inne kobiety i dzieci jednogłośnie.

Lokaj, przekonawszy się z odpowiedzi, że to nie była zwykła żebranina, zwrócił się napowrót ku willi, tem więcej się spiesząc, ile że ujrzał nadchodzący z daleka tłum mężczyzn, który bez wątpienia należał do zgromadzonych przed willą kobiet.

— Jeśli jeszcze ci ludzie połączą się z babskim chórem, pomyślał sobie lokaj, natenczas powstanie doprawdy bardzo niesmaczny koncert.

Wyszedłszy na górę do mieszkania, zawiadomił natychmiast o tem, co widział i słyszał, swych kolegów i koleżanki, którzy powstawszy właśnie z łóżka, z ciekawością w największym negliżu do okien wyższego piętra, lub do dymników na poddaszu się zbiegli, aby się stąd przypatrzyć osobliwszemu widokowi u bramy, który im ów wspomniany lokaj, nazwiskiem Eliasz, żartem od służby tytułowany „chodzącą mądrością“, jako coś niebezpiecznego przedstawił. Atoli panna pokojówka Barbara utrzymywała stanowczo, iż się niczego nie było potrzeba obawiać. Mimo to zbiegła się niebawem wszystka przestraszona służba około Eliasza pomiędzy schody a przedpokój, nawet mieszkańcy podziemnych przestrzeni, kucharki i kucharczyki ośmielili się tym razem wydostać się na górę, w świat, który

dla nich kiedy indziej był niedostępnym i obcym.

Eliasz odpowiadał na wszystkie pytania jakiemi go zarzucano, stereotypową uwagą:

— Otóż sprawdziło się wreszcie, co oddawna już przepowiadałem i czego oczekiwałem!

Naraz dały się słyszeć nawoływania i krzyki pojedynczych osób w tłumie, który się coraz natarczywiej cisnął ku bramie. Był to w istocie widok niepokojący.

— Co się to dzieje, co mamy czynić? wołała zewsząd służba. A, toż istny kłopot, gdyby tylko pani baronowa była już na nogach! Możebyś ją obudziła Barbaro?

— Broń Boże, odrzekła pokojówka, pani prawie całą noc czuwała nad chorym Odonem!

— Nie panią baronowę, odezwał się Eliasz, zbudźcie pana Lindaua, on potrafi się rozmówić z tymi tam ludźmi.

— Tak, tak, pana Lindaua! wołał ten i ów ze służby.

— Albo pannę Gabrjelę, doradzał gajowy, to prawdziwy djabeł, nie dziewczyna!

— Dobrze mówi, zbudzić pannę Gabrjelę!

Kilka osób ze służby pobiegło też zaraz pobudzić wspomniane osoby.

Tłum tymczasem wzrósł tak znacznie, iż zapełnił cały plac przed willą i część drogi, która tędy przechodziła. Jedni z pośród zgromadzonych brali widocznie udział w tak nazwanej „demonstracji“, inni się jej tylko przyglądali. Pierwszych zachęcali Jaga i bakałarz, którzy się pośród tłumu skrzętnie uwijali, rozprawiając bardzo wymownie. Bakałarzem był najwyżej 25-letni młodzieniec, o bujnych włosach, tak iż ich ka-

pelusz nie mógł pokryć należycie, i drobniutkim wąsiku, który atoli nie licował z nieco powiędłą i pomarszczoną twarzą. Poznać było łatwo, iż się młody bakałarz przedwcześnie przeżył. Niedawno jeszcze nazywali go ludzie powszechnie „zepsutym studentem“, dopóki go na jego prośby w najkrytyczniejszej chwili baron Fryzen do swej przędzalni nie przyjął. Ponieważ się atoli tutaj okazał w najwyższym stopniu nieprzydatnym robotnikiem, baron Fryzen zaś równoczenie pierwszy pragnął coś uczynić na korzyść oświecenia „klas roboczych“, przeto „zepsuty student“ zaawansował na bakałarza dzieci robotników w fabrykach barona.

— Przypatrzcie się, wołał on do zebranego tłumu przed willą, tutaj urządzają uroczystość i bale, a nam dozwalają znosić głód i nędzę, bo pozamykali fabryki. Pójdźmy więc do mieszkania bogatego barona i żądajmy polepszenia doli.

— Pójdźmy, pójdźmy! powtórzyła Jaga i pociągnęła gwałtownie za dzwonek u bramy, tak, iż się jego głos rozległ jakby na trwogę i cały tłum zawrzał niepokojem.

W tej chwili wypadł z domu Lindau, a Gabrjela, która przedtem na balkon wyszła w celu przekonania się, co się święciło u bramy, wbiegła szybko do swego pokoju. I ona zadzwoniła i napisawszy kilka słów na przygotowanym papierze, wręczyła złożony list służącemu, który tymczasem nadszedł.

— Jakóbie! rzekła do niego, siadaj natychmiast na konia i pędź co tchu starczy, do letniego zamku księcia. W tym tygodniu objął w nim komendę hrabia Sokół, jemu oddasz ten list, pozdrowisz go odemnie i

powiesz mu, że sprawa wymaga pospiechu. Pojedziesz naokoło parkiem, aby się ci ludziska u bramy nie widzieli.

Wierny służący popędził niebawem na koniu lotem błyskawicy ku książęcemu letniemu zamkowi, w którym zawsze kompania piechoty i szwadron jazdy stały załogą.

Alfred tymczasem, wiedząc dobrze, ile dobrego baronowa świadczyła żonom robotników w fabrykach, zwrócił się do nich i przedstawił im, że ta dobra pani prawie całą noc spędziła u łóżka chorego dziecka, a teraz zapewne nie przeczuwając nic złego zażywa pokrzepiającego snu, a więc jej budzić nie wypada. Mówił im dalej, że należałoby się raczej zwrócić z zażaleniem do barona, jako właściwego chlebodawcy, gdyż tak postępują ludzie uczciwi, szlachetni.

Już pozabierało wiele kobiet dzieci na ręce, chcąc za dobrą radą wrócić do domu, za ich przykładem zaś postanowili pójść i mężczyźni, atoli niegodziwa Jaga rozśmiała się w głos i zawołała:

— To znana historja, że guwernerzy z damami zawsze w dobrej żyją przyjaźni!

Na te słowa zanosił się bakałarz od śmiechu.

Alfred zarumienił się i spojrzał mimowolnie ku oknu baronowej, czyby i ona przypadkiem nie była usłyszała tych obelżywych wyrazów. Potem jednym susem przeskoczył żelazne sztachety i wpadł na bakałarza, a uchwyciwszy go za gardło, położył koniec jego szyderskiemu śmiechowi. Kilku robotników przyskoczyło bakałarzowi na pomoc, lecz nie mogli go uwolnić z ręki Alfreda, dopiero kulawa Jaga sprawiła to, przyskoczywszy do

niego i uderzywszy go kulą tak mocno po głowie, że zalany krwią zemdlał. Tłum zaś robotników wszedł za przewodnictwem Jagi przez obalone żelazne sztachety na dziedziniec. Dopiero teraz przebudził baronowę hałas nieproszonych gości. Ubrawszy się szybko zbliżyła się do okna, otwarła je i ujrzała cisnący się ku willi tłum ludzi, a pośród nich uwijającego się skrwawionego Alfreda, który biegł ku głównym drzwiom willi, nie chcąc ich do jej wnętrza dopuścić.

— Na Boga! zawołała zatrwożona baronowa, cóż się to tutaj dzieje?

— To ludzie z fabryki, odrzekła pokojówka Barbara, narzekają oni, że ich pan już od roboty w fabrykach odprawił, a Eliasz powiada, że się domagają chleba i pieniędzy.

— Pieniędzy, pieniędzy! zawołała uradowana baronowa i pospieszyła do pobocznego pokoju. Za chwilkę powróciła stamtąd ze skrzynką i stanąwszy u okna wysypała na dziedziniec wszystkę jej zawartości t. j. srebrne monety i banknoty, które tłum na dole chciwie chwytał.

Potem spytała zaniepokojona baronowa o Lindaua.

Na to odpowiedziała jej pokojówka Barbara.

— Nie wiem, pani baronowo, co się z nim dzieje, widzieliśmy go tylko. gdy zbiegł po schodach na dziedziniec, kto wie, czy jeszcze żyje.

— Jużci, że żyje, odrzekł z uśmiechem Odo, wszak słyszę jego chód na korytarzu.

Uradowana Matylda otwarła drzwi, któremi w istocie Alfred wszedł do izby. Baronowa zbliżyła się ku niemu ze łzami w oczach, objęła obiema rękoma jego

skrwawioną głowę i spojrzawszy mu w oczy z głębi duszy zawołała:

— Mój biedny, drogi przyjacielu! Chciałeś nas pan obronić, gdy ja spałam, i naraziłeś swe życie na niebezpieczeństwo.

— To drobnostka pani baronowo! odrzekł Alfred z uśmiechem, moja wina, że się uniosłem gniewem, należy mi być spokojniejszym. Ci ludzie na dole nie myślą wcale o żadnych gwałtach.

Mówiąc to zsunął powoli jej rękę z swej głowy, a zbliżywszy ją do ust, złożył na niej pocałunek. Potem rzekł do baronowej:

— Powróć pani do dzieci! Przysięgam, że nikt nie przestąpi tego tutaj progu, którego ja będę bronił.

Gdy baronowa w istocie do dzieci powróciła, pozostał Alfred na straży u drzwi, wiodących do jej pokojów, i cieszył się, że korytarz, który do nich prowadził, zalegała ciemność, gdy przez to nie był widziany od biegających z hałasem robotników po przedsionku. Właśnie rozmyślał młodzieniec nad środkami ich uspokojenia, gdy na przeciwnym oświetlonym końcu korytarza ujrzał ze strachem Jagę nadsłuchującą i poszukującą skrzętnie drogi, którąby się można było dostać do wnętrza willi, aż stanęła w pośrodku ciemnego korytarza z wytrzeszczonemi jak u sowy oczyma. Alfred wzdrygnął się na widok tej kobiety, należącej do rzędu owych szkaradnych bab, które drugą niewiastę już dlatego mogą na śmierć nienawidzieć, iż one posiadają piękniejszą suknię, więcej wdzięku, urody, niewieściej słodyczy, aniżeli ona sama. Chcąc ją tedy

uczynić nieszkodliwą, przyskoczył Alfred do niej jednym susem i chwycił ją za kark, zatykając jej ręką usta, ponieważ chciała krzyczeć. Lecz kiedy ją dalej za sobą pociągnął i próbował daremnie otworzyć drzwi jednego z pokoi, które się po obu stronach korytarza ciągnęły, aby niespokojną złośnicę w nim zamknąć, udało się jej usunąć jego rękę i zwołać krzykiem towarzyszów z fabryki. Alfred odtrącił ją od siebie, potem zwrócił się do hałasującego tłumu robotników, uspokajał ich, obiecując przedłożyć ich sprawę baronowi. Gabrjela, która stała u drzwi w pokoju baronowej i nadsłuchiwała, rzekła:

— Dobrze mówi Alfred i jak nieustraszony rycerz broni wstępu natrętom.

Na to odezwała się pokojówka Barbara:

— Gdybyśmy tylko posiadali jeszcze jakie pieniądze!

Te słowa przypomniały baronowej o jej klejnotach; pospieszyła więc do bocznego pokoju i przyniosła je stamtąd. Właśnie stała z niemi u drzwi, gdy Jaga znowu narobiła krzyku, wzywając robotników, aby się byli udali do pokojów willi. Gdy to baronowa usłyszała, otwarła szybko drzwi i wyszła za nie. Gabrjela pobiegła równie szybko za nią, nie spuszczając oka ze skrzyneczki zawierającej klejnoty, pierwej atoli przymknęła starannie drzwi, któremi padało jasne światło na ciemny korytarz.

— Tutaj macie moje klejnoty, zawołała Matylda, rozdzielcie je pomiędzy ludzi, aby się uspokoili.

W tej chwili uchwyciło dwoje rąk skrzynkę z klejnotami, a baronowa uczuła, że ją ktoś napowrót wci-

snął do izby. Gabrjela atoli nie weszła z nią do niej, lecz podążyła spokojnie ciemnym korytarzem, ominęła krzyczącą ciągle Jagę i zbliżając się wprost do bakałarza, stojącego u wnijścia rzekła z uśmiechem:

— Mój panie! pan jesteś osobą wykształconą i niemógłbyś pan towarzyszyć damie wśród tego natłoku ludzi?

To wezwanie pochlebiło niezmiernie bakałarzowi, iż piękna młoda dama w śliczniutkiej rannej toalecie, zanim się spostrzegł, wsunęła rękę pod jego ramię.

— Z drogi, z drogi, usuńcie się tej pani! zawołał z dumą uszczęśliwiony bakałarz i przeprowadził Gabrjelę przez tłum, potem przez salę i pokoje głównego zabudowania, usuwając z wielką galanterją z drogi poprzewracane przez robotników drobne sprzęty. Wreszcie stanął z nią u wnijścia do lewego pawilonu. Gabrjela skłoniła się mu nisko i podziękowała mu za wyświadczoną jej rycerską usługę uśmiechem, który go oczarował.

— Ach, to zachwycająca osoba! pomyślał sobie w duchu, ale i ja umiem się obchodzić z tymi ludźmi z fabryk... jam stworzony do czegoś wyższego.

Alfred tymczasem odpierał ostatniem wysileniem natłok robotników, cisnących się przemocą do drzwi baronowej. Party do nich coraz silniej po długim oporze i nadludzich wysileniach utracił przytomność i wyważył wreszcie drzwi własnem ciałem.

Lecz w tej samej chwili ozwał się w tyle silny głos...

— Odstąp stąd, komu życie miłe!

Był to głos Van der Sluy'a, który z swymi pomocnikami i robotnikami niespodzianie się zjawił obronić baronowę od natręctwa niespokojnego tłumu. Obok niego stała Marja.

Zagrożony tłum cofnął się bardzo spiesznie. Z pod jego nóg starał się Alfred wydobyć i powstać, lecz zachwiał się znowu i padł w objęcia Marji, która go wśród narzekania do pokoju wniosła. Alfredowi nastąpił ktoś mianowicie nogą ranę, tak, iż z niej na powrót krew wypłynęła.

— Poczciwy z niego chłopak, powiedział Van der Sluy, trzymał się dzielnie.

Marja uśmiechnęła się, chociaż z jej ócz łzy płynęły.

Na stanowczy rozkaz ogronika oddalił się tłum bardzo spiesznie od sypialni baronowej. która się w niej z Marją krzątała około Alfreda, spoczywającego bez przytomności na sofie. Na widok cierpiącego ukochanego nauczyciela poczęli Odo i Pawełek głośno płakać.

Marja zaś, która z baronową opatrywała ranę Alfredowi, obwiązując ją batystową chusteczką, powtarzała za ojcem: Poczciwy chłopiec, trzymał się tak dzielnie.

A mówiła to tak serdecznym głosem, iż baronowa zrozumiała jego tajemnicę.

— Moje dobre dziecko! szepnęła baronowa Marji do ucha, ty go kochasz?

Marja nic nie odpowiedziała, tylko ucałowała zwieszoną rękę Alfreda.

— Bądź z nim szczęśliwą, mówiła dalej baronowa z głębokiem wzruszeniem, kładąc jakby w znak błogo-

sławieństwa rękę na jej jasnowłosej głowie, on na to zasługuje!

Po chwilce namysłu dodała:

— Przewiduję, że nadejdą czasy bardzo smutne... lecz będę szczęśliwą, gdy się dowiem o waszem wspólnem szczęściu.

Marja ukryła twarz w fałdach jej sukni i rzekła cichutkim głosem:

— Przebaczenia!

— Przebaczenia, spytała baronowa, a to za co moje dziecko?

— Przebaczenia! powtórzyła Marja i zwróciła zalane łzami oczy ku dobrej pani, ja, ja... pani zazdrościłam..

Zdziwiona baronowa potarła sobie ręką czoło, spoglądając na dziewczynę, jak gdyby sobie chciała coś przypomnieć. Potem nachyliła się ku niej i szepnęła jej do ucha:

— Nie mam ci nic do przebaczenia miałaś słuszność!

Tłum robotników, napierany przez Van der Sluy'a i jego ludzi zeszedł tymczasem schodami na podwórzec. Jaga uciekła do ogrodu i ukryła się tutaj w jak najgęstszym krzaku. Gdy atoli Van der Sluy pochwycił sprawcę niepokoju, bakałarza, nie czując dostatecznego bezpieczeństwa, opuściła ona tę kryjówkę i obrała inną. bardziej odległą. Van der Sluy tymczasem powiódł bakałarza do jednej z ciemnych komórek i zamknął go w niej na klucz.

Wkrótce potem przebudził się zemdlony Alfred jakby ze snu, nie wiedząc, co się z nim stało, i nie widząc jak baronowa Marję za szyję objęła i z nią na niego

z żywą radością spoglądała. Za małą chwilkę rozległy się na drodze tentent koni i głos komendy.

— To żołnierze! zawołały z przestrachem baronowa i Marja.

— Żołnierze? powtórzył Alfred i zerwawszy się ku ich ogromnemu żdziwieniu pobiegł do okna, chcąc się przekonać o prawdzie. Potem wybiegł szybko na dziedziniec.

Teraz i baronowa z Marją pospieszyły do okna i ujrzały go stojącego pomiędzy ludem i dragonami, był tam także już i Van der Sluy.

— Zbytecznie się pan trudziłeś, panie rotmistrzu, rzekł Alfred do komendanta, każ pan cofnąć się twym ludziom, a robotnicy rozejdą się spokojnie do domu.

— Czy pan masz tutaj do rozkazywania, czy ja? zapytał rotmistrz i już miał wydać jakąś komendę, gdy się nagle zbliżyła baronowa i rzekła uprzejmym lecz drżącem głosem.

— Panie rotmistrzu, bądź pan tak grzecznym, zsiąść z konia i wstąpić do nas dla pokrzepienia się z drogi. Odkomenderuj pan swych ludzi, a robotnicy opuszczą z pewnością dziedziniec i rozejdą się spokojnie do domu.

— A teraz, to inna sprawa, odrzekł z ugrzecznieniem rotmistrz, pani tutaj rozkazujesz!

Rzekłszy to odesłał swych żołnierzy do domu, a równocześnie opuścił tłum robotników dziedziniec willi i rozszedł się na wszystkie strony. Rotmistrz zsiadł z konia i ucałował rękę baronowej, która stała oparta o ramię Marji. Alfred znowu omdlał, i tylko Marja widziała, jak go pochwycił jej ojciec w silne ramiona i

do domu poniósł, powtarzając z cicha:

— Poczciwy, dobry chłopiec.

Gabrjela schroniła się natychmiast do swego pokoju, skoro się tylko pokazała baronowa.

X.

Djamenty.

O zajściu w willi barona Fryzena dowiedziała się wnet cała okolica. Była to pierwsza nowina, która od wielu lat doszła do cichego odległego folwarku hrabiego Egona, siedział on właśnie wówczas w swym pokoju i rozmyślał nad tem, czyby jeszcze przed balem miał się był udać do willi barona Fryzena i co miał w dniu uroczystości powiedzieć Gabrjeli w celu zaglądnięcia do jej serca i powzięcia ostatecznego postanowienia. Jego czuły umysł dręczyły najróżnorodniejsze wątpliwości, a już samo zajmowanie się w myśli zagadkową i bardzo piękną Francuzką przyczyniało się ogromnie do spotęgowania jego miłości. Wreszcie nie mogąc sprostać walce najróżnorodniejszych a dręczących uczuć, postanowił tę całą sprawę zaraz u czarodziejki wyświecić i usłyszeć z ust pięknej Gabrjeli wyrok swego losu.

Baron Fryzen, powróciwszy z miasta do domu, oglądał z cygarem w ustach, spokojnie, zrządzone w nim szkody i odprawiał skinieniem ręki każdego kto tylko chciał mu opowiedzieć o raniejszem zdarzeniu. Do

Van der Sluy'a zaś, zatrudnionego znowu z swymi ludźmi w salach willi odezwał się:

— Udzielam panu najzupełniejsze pełnomocnictwo, nie szczędź pan pieniędzy i napraw pan wszystko tak jak przedtem było i jak być powinno. Dla przysporzenia panu na to czasu odroczę uroczystość na kilka dni.

Następnie zeszedł na dół do rotmistrza, z którym się zabawiała Gabrjela, ponieważ baronowa powróciła do dzieci. Oboje śmiali się z ranniejszego zdarzenia, a baron im w tem dopomógł. Jeszcze chwilkę siedzieli wszyscy troje u stołu, a następnie powstał od niego rotmistrz i pożegnawszy się odjechał. I baron powrócił niebawem do miasta, a do willi zawitała znowu dawna cisza, którą tylko krzątanie się pracujących w niej ogrodników przerywało. Matylda siedziała u łóżka swego synka, którego gorączka się wzmogła wskutek doznanego przestrachu; na sofie spoczywał w sennem odurzeniu Alfred, tak, iż zaledwo wiedział, że Marja cichutko po pokoju chodziła i od czasu do czasu głowę mu zimnym okładem chłodziła. Gdy późnym wieczorem robotnicy willę opuścili, było w całem jej obejściu tak cichutko jak w klasztorze.

Dopiero około północy poczęło się coś ruszać w lewym rogu willi, tam, gdzie przypierała do gaiku. Ten róg dolnego piętra nie był zamieszkały, gdyż tutaj znajdowała się wielka bilardowa sala, gdzie w ostatnich dniach przechowano wszystkie przedmioty potrzebne na czas uroczystości. Ostatnie okno tej sali zabrzękło cicho, potem wysunęła się niem w ciemną odzież osłoniona postać na zieloną murawę, która się ciągła jakby

aksamitna wstęga wzdłuż ogrodowej strony domu. Stąd pomknęła się ta zagadkowa postać w pomrok lasu, z którego już więcej nie wyszła. Mimo dosyć ciemnej nocy zdawała się ona szukać umyślnie jeszcze większej ciemności. Dopiero w głębi lasu ukazała się z pod wielkiej chustki, okrywającej jej głowę, piersi i ramiona, mała latarka, rzucająca światło na wysterczające korzenie i inne nierówności w drodze. Mimo to potrącała ona często drobnemi nogami o nielitościwe kamienie i sęki, a z gniewnych po francusku wymówionych wyrazów można było łatwo poznać, że tą zagadkową osobą była... Gabrjela!

Mimo okazywanej wesołości, w ciągu całego dnia zagnieździł się przecież później w jej duszy wielki niepokój i gryząca troska, ponieważ gdy ją nad wieczorem hrabia Egon niespodzianie odwiedził, zastał ją, ustrojoną zapewne na próbę, w djamenty baronowej! Gabrjela nie mogła spać w nocy. Gdy w ogólnem zamieszaniu na ciemnym korytarzu dostały się w jej ręce niespostrzeżenie te kosztowne, wspaniałe klejnoty, pozyskała sobie ona przez to całą przyszłość. Jakżeż czarodziejskim bowiem środkiem były dla niej te nieocenione djamenty! Mogła ona teraz zrzucić z siebie jarzmo zawisłości, które ją gniotło i gniewało, odkąd poczęła myśleć i poznała, że była piękną. Mogła powrócić do Francji, zakupić sobie majętność i żyć w niej jako niezależna pani, albo wstąpić w najwyższe sfery paryskie, gdyż czuła, że posiadała do tego wszelkie uprawnienie. Kiedykolwiek dotychczas słyszała wielkie nazwiska jak Duchatel, Larochejaquelin, Liencourt,

Larochefaucoult i t. p., myślała zawsze o tem, że gdy się kiedyś znajdzie znowu w swym rodzinnym kraju i będzie mogła odpowiednio wystąpić, natenczas i ona pozyska podobne rozgłośne nazwisko, i to tem pewniej, ponieważ postanowiła, jak to odpowiadało rozsądnej damie na jej stanowisku, uczynić wybór nie według młodości, urody, zdolności i t. p. zalet, ale według potęgi i przepychu. Nadto czarowała ją i ta druga myśl, iż będzie się mogła kiedyś pokazać, ozdobiona temi przecudnemi djamentami gdzieś w obcych stronach, może we Francji! Jakżeż często nachodziła ją ta myśl, gdy widziała ten wspaniały, królewski djadem na skromnej głowie baronowej, która go w niegodny, mieszczański sposób jakby jaki polny kwiat nosiła we włosach. Juści byłaby to kradzież, gdyby chciała zatrzymać dla siebie te klejnoty, ależ to była przynajmniej kradzież wyjątkowa, „na wielką skalę!“ Ale czegóż się nieraz dla pozyskania djamentów nie dopuszczały nawet margrabiny i księżniczki! A nadto stawały się dla niej te klejnoty majątkiem, z którego mogła w rozliczny sposób ciągnąć lichwę.

Baron Fryzen kochał ją namiętnie, leżał u jej nóg, mogła ona rozporządzać jego całym majątkiem. Jeśli go dotychczas nie wysłuchała, tego powodem było przekonanie, że jeszcze nie nadszedł ku temu czas, że się nie chciała wiązać i niweczyć przyszłe możliwe kombinacje. W najbliższym czasie miała ona przebywać całe popołudniu i w ciągu całej nocy z księciem Wiktorem. Widział on ją tylko raz jeden w teatrze, lecz ona wiedziała, jaki wywierała wpływ na jemu podobnych

mężczyznach. Na wszelki wypadek miała Gabrjela w odstawie czułego, prawdziwie niewieście usposobienie mającego hrabiego Egona. Posiadał on przynajmniej znakomite imię; stawszy się jego żoną umiałaby sobie także pozyskać księcia-wuja, aby zniósł wyrok wydziedziczenia.

Teraz atoli nienawidziła jeszcze tego nieszczęsnego, zniewieściałego Egona, który, działając po raz pierwszy jako mężczyzna, do jej mieszkania się wcisnął, nabawiając ją takiego kłopotu. Widział on na niej d j a m e n t y b a r o n o w e j i mógłby ją przy sposobności zdradzić, albo ją dlatego porzucić. Postanowiła go więc oszukać, a djamenty tak ukryć, aby się o nich nikt nie mógł dowiedzieć. Gdyby się bowiem przypadkiem przekonano, że się one nie dostały do rąk robotników, natenczas mogłaby policja cały dom przeszukać. W tym wypadku zniszczone zostałyby jej wszelkie nadzieje w tym kraju.

Dlatego też dręczona ogromnym niepokojem, powstała około północy z łóżka, po którem można było poznać, że się w nocy nie cieszyła bynajmniej snem ludzi niewinnych, i zeszła cichutko schodami, salą bilardową do jodłowego gaiku. Tutaj miała zakopać swój skarb w jakiem ukrytem miejscu, któreby potem łatwo mogła znowu odszukać. Wiedziała, że ogrodnicze narzędzia, których używano w parku, znajdowały się na dole w wieży, którą kazał był zbudować dawniejszy właściciel majętności jako uczony oryginał, chcąc oglądać model dawnego romańskiego stylu w budownictwie. Zwróciła więc w tę stronę kroki. Tu znalazła bardzo

stosowne miejsce do ukrycia swego skarbu, gdyż ujrzała ciosowy, pochyło stojący kąmień zaledwo o dwa kroki od wieży. Mogła więc pod nim wykopać dziurę, ukryć w niej skrzynkę z djamentami, potem zasypać ją znowu ziemią i pokryć gałęziami i liśćmi. Postawiła więc skrzynkę na ziemi i przekonawszy się, że naokoło panowała zupełna cisza, pochwyciła o wieżę oparty rydel w zamiarze wykopania dziury. Lecz w pospiechu poobalała kilka obok stojących ogrodniczych narzędzi, które z łoskotem na ziemię poupadały. Na dziedzińcu willi zaszczekał domowy brytan. Gabrjela osłoniła się znowu szybko chustką, gotując się do ucieczki. Lecz wkrótce nastała znowu zupełna cisza, tak, iż się po chwili zabrała do niebezpiecznej roboty. Lecz właśnie teraz usłyszała tuż z wieży dolatujące ją chrapanie, czy stękanie. Grzesznicę ogarnął dreszcz zimny i przypomniała sobie o duchach, które się mają zjawiać przy zakopywaniu lub odszukiwaniu skarbów. Wiedząc atoli że w wieży nikt nie mieszkał, nie dozwoliła się ustraszać widmom wyobraźni i zapuściła rydel w ziemię, lecz chcąc sobie należycie do roboty przyświecić musiała tak stanąć, iż ona na jej twarz padała. Zauważyła to Gabrjela, lecz pocieszała się myślą, że ją o tej godzinie w samotności nie mógł nikt widzieć.

XI.

Nowa miłość.

— Serviteur, mademoiselle de Chaumont! — odezwał się nagle z wieży jakiś głos, jak gdyby się

tuż nad jej głową unosił był zagadkowy duch, przemawiający jak najlichszą francuzczyzną.

Gabrjela zadrżała, upuściła z rąk rydel i zakryła twarz chustką, gotując się do ucieczki.

— To się na nic nie przyda, odezwał się znowu ten sam głos, wszak ja panią poznałem! Patrzyłem na panią zaraz od pierwszej chwili, poznałem także i skrzyneczkę, jest to ta sama skrzyneczka, którą pani miałaś pod pachą, kiedym panią dzisiaj rano odprowadzał do mieszkania.

Gabrjela poznała głos bakałarza, lecz w tej samej chwili przypomniała sobie jego radość i szczęście, jakie okazywał wtedy, gdy ją prowadził pod ramię przez tłum niespokojnych robotników, tudzież gdy go uprzejmym żegnała uśmiechem przy rozstaniu. W jej głowie zaświtał przeto nowy plan i wypadało nędznika, który odkrył jej tajemnicę i mógł ją zdradzić, pozyskać sobie i uczynić sprzymierzeńcem, a może i pożytecznem narzędziem. Podniosła więc w górę latarkę, a przez kratę wieży ukazała się twarz bakałarza, który się jej obiema rękami trzymał. Przemyślna Gabrjela zwróciła teraz w ten sposób latarkę, iż ona i jej twarz oświeciła, a potem rzekła z wielkiem współczuciem i uśmiechem na twarzy:

— Ależ na Boga, kochany panie nauczycielu, jakiem prawem dostałeś się pan do wieży?

— Jestem więźniem, zamknął mnie tutaj ten nieokrzesany grubian, nieczuły Holender Van der Sluy.

— Van der Sluy? zapytała z przestrachem Gabrjela, w tym razie czeka pana istotna zguba!

— Doprawdy? zapytał z trwogą więzień, a wszak mi on przyobiecał, że mi tutaj schnąć długo nie dozwoli i wypuści mnie za kilka dni... Prosiłem go na klęczkach...

— O, nie wierz mu pan, ostrzegała Gabrjela, ja go znam doskonale, to człowiek twardy jak kamień, on pana wyda władzy, pan zginiesz w podziemnych lochach.

— O, mój Boże, mój Boże! biadał bakałarz, a więc już tak przedwcześnie mam paść ofiarą mego przekonania... i to jeszcze w tak młodych latach, u progu świetnej karjery!...

— A więc pan nie zdołałeś wzruszyć swą wymową Van der Sluy'a? powiedziała z współczuciem Gabrjela, wszak pan jesteś wielkim mowcą.

— Jego serce zdziczało wśród barbarzyńskich plemion Australji, to człowiek obojętny na piękno i rzeczy podniosłe... On mnie wyśmiał!

— O, nie dam panu zginąć, rzekła z determinacją Gabrjela, ja pana ocalę.

— Pani jesteś aniołem, zawołał z uniesieniem nieszczęśliwy bakałarz, równie dobrą, jak jesteś piękną!

— Ale jak mogę to uskutecznić? zapytała Gabrjela.

— To bardzo łatwa rzecz, odpowiedział bakałarz, jeśli pani tylko zechcesz, zadać sobie trochę trudu, ja zaś będę pani za to wdzięcznym do grobowej deski. Będę niewolnikiem pani aż do ostatniego tchnienia, będę do pani należał z ciałem i z duszą, przysięgam to na świętość więziennej kraty, na wzniosłą potęgę pani urody. Ocal mnie pani błagam usilnie.

— Przyjmuję pańskie przysięgi i obietnice, odrzekła

uradowana Gabrjela, ale jak mogę pana ocalić?

— Drzwi u wieży są z zewnątrz zaryglowane, ale nadto i zamknięte na klucz, który nieubłagany ogrodnik do kieszeni schował, wyrzuciwszy na dwór z wieży wszelkie narzędzia, któremibym się mógł uwolnić z tej tutaj klatki. Bądź pani przeto tak łaskawą podać mi przez kratę jakiś drąg, pani masz rydel, podnosząc z obu stron zamknięte drzwi wysadzimy je łatwo z zawiasów.

— Dobrze, odrzekła Gabrjela, zejdź pan zatem na dół.

Gdy to bakałarz uczynił, podała mu żelazny, ostro zakończony drąg przez kratę. On atoli pochwycił najpierw jej rękę i okrywając ją pocałunkami wołał raz po raz.

— Ach, co to za ręka, jaka delikatna! Doprawdy nie masz nic śliczniejszego nad arystokratyczną rączkę!

Gabrjela zezwoliła ucieszyć się bakałarzowi i potem atoli rzekła z uśmiechem:

— A teraz do dzieła!

Po chwili udało się obojgu drzwi w istocie wyważyć. Bakałarz pochwycił je i oparł pochyło o wysoki próg wieży. Schodząc potem po nich jakby po moście, podczas gdy mu Gabrjela latarką przyświecała, zawołał:

— Jak święty Piotr, wiedziony przez anioła wychodzę i ja z więzienia!

Rzekłszy to, przypadł do nóg Gabrjeli i obejmując jej kolana spoglądał ku niej czule rozpłomienionem okiem.

— Ten człowiek stał się w istocie moim niewolnikiem, jak to poprzysiągł!

Tak pomyślała sobie w duchu Gabrjela, potem położyła rękę na jego głowie, pochyliła się ku niemu i rzekła cichutko:

— Mój biedny przyjacielu!

Bakałarz spłonął ogniem i drżał na całem ciele, coraz silniej obejmował jej kolana, do których przytulił głowę i zawołał prawie z płaczem:

— Tak chciałbym tutaj u nóg spoczywać wiecznie, wiecznie!

— Cicho, upominała Gabrjela, teraz nie pora po temu, pójdź pan za mną!

Z skrzyneczką pod pachą i z latarką w ręku zniknęła potem w głębi lasu, następnie powróciła przyświecić w drodze bakałarzowi, który za nią kroczył z niewymownym zachwytem. Gdy tak oboje doszli prawie na przeciwny kraniec gaiku, znaleźli tam w zupełnej samotności zdala od willi ławkę, pokrytą mchem gęstym. Opodal toczył się ze szmerem strumyk, wypływający z parku. Tutaj można było być pewnym, że nikt nie podsłucha rozmowy. Gabrjela ustawiła latarkę tak na zrębie drzewa, iż światło padało na jej twarz i całą postać i usiadła na ławce. Bakałarz stał przed nią ze zwieszonemi rękami, zatopiony wzrokiem w jej wdziękach.

— O Boże, Boże! zawołał mimowolnie z westchnieniem, ileżto szczęścia na tej ziemi!

Potem wykonawszy ruch, jak gdyby się jej chciał był do nóg rzucić, dodał:

— Moja królowo, przecież to życie jest piękne!

Gabrjela kazała mu przysiąść się na ławkę i rzekła

z uśmiechem łagodnie:

— Nie lękaj się mnie pan bynajmniej, teraz już nie jesteśmy dla siebie obcymi. Jeszcze rano podziwiałam panską odwagę, pański zapał, wymowę, a przedewszystkiem szlachetne, ludzkie usposobienie, a kiedy nadto spotkało mnie szczęście ocalenia pana, to już na zawsze czuję się połączoną z panem. Bo cóż może ściślej łączyć z sobą bliźnich, jeśli nie to, co im dobrego wyświadczymy?

— Pani jesteś aniołem w najwspanialszej ludzkiej postaci, zawołał z zapałem bakałarz, nie spotkałem jeszcze nigdy w życiu tak doskonałej istoty, tyle dobroci i szlachectwa duszy obok tak rzadkiej urody! Nie, dotychczas wiodłem złe, lekkomyślne życie, czuję to, że ciągle tylko ze wszystkiem igrałem... lecz teraz nastąpiła we mnie zupełna odmiana. Widok, głos, wspaniałomyślność pani, wszystko obudza we mnie najczystsze uczucia, najlepsze postanowienia. Gdybym tylko mógł uczynić coś takiego dla udowodnienia pani, że jestem gotów do wszystkiego, że nie szczędziłbym dla pani zdrowia i życia...

— Mój poczciwy przyjacielu! zawołała Gabrjela drżącym niejako od wzruszenia głosem i ująwszy za rękę bakałarza uścisnęła ją serdecznie.

Oszołomiony bakałarz zadrżał i zalawszy się łzami oparł jakby we śnie głowę o ramię Gabrjeli, ściskając w swych dłoniach jej rękę tak silnie, jak gdyby jej już nigdy wypuścić nie chciał. Po długiej chwili milczenia odezwał się z zająknieniem:

— O, rozkaż tylko pani, zażądaj czego odemnie!

— Owszem zażądam czegoś od pana, odrzekła Gabrjela, potrzebuję od pana usługi, będziemy razem wiedzieli o tajemnicy, która nas jeszcze ściślej połączy.

— O, mów, mów pani prędzej!

— Ta oto skrzynka, która dla nikogo nie posiada żadnej wartości, jest dla mnie skarbem. Zawiera ona w sobie wszystkie moje kosztowności t. j. dokumenty, zatwierdzające moje prawo do pewnych dóbr we Francji, tudzież drogie relikwie po mej zmarłej matce. Moi nieprzyjaciele, posiadający obecnie moję majętność, czynią wszelkie zabiegi w celu dostania do swych rąk tych dokumentów. Lecz ja nie dam się pozbyć mego prawa, i ileżto dobrego mogłabym zdziałać na ziemi, jakieżbym czyniła starania około mych przyjaciół, gdybym tylko odzyskała swą majętność! Dlatego też chciałam dzisiaj rano ocalić tę skrzynkę, kiedy mnie pan z nią ujrzałeś, i zatrwożona rannem zajściem ukryć ją na zawsze przed niepowołanem okiem, jak skąpiec skarb swój zakopuje. Lecz bezpieczniejszą aniżeli sto łokci w ziemi, będzie ona w rękach przyjaciela! Nikt o tem nie wie że się oboje znamy, jakie węzły nas łączą, a więc nikt nie domyśli się, że ta skrzynka będzie w ukryciu u pana, gdyż ją powierzę panu jako przyjacielowi, pańskiej odwadze i przezorności! Gdy ją kiedyś znowu od pana zażądam, natenczas będzie to dla pana uwiadomieniem, że nadeszły dobre czasy dla mnie i... dla pana. Oto masz pan tutaj skrzynkę: składam w pańskie ręce własne szczęście i pamiątki po najdroższej matce!

Rzekłszy to, podała mu Gabrjela skrzynkę, ucało-

wawszy ją wprzódy i przycisnąwszy do serca. Z nabożeństwem odebrał ją bakałarz, jak gdyby była w istocie zawierała święte relikwie.

— Nie wydrze mi jej żadna potęga na ziemi! zawołał potem w zapale, lecz zaraz potem dodał:

— Ale jakże mam ją obronić, jeśliby mnie w najbliższym czasie zaczęto prześladować?

— Nie obawiaj się pan niczego, odrzekła Gabrjela, ja potrafię usunąć od pana wszelkie prześladowanie.

Długo jeszcze siedzieli obok siebie Gabrjela z bakałarzem, rozmawiali jeszcze o różnych rzeczach, a z każdą nową chwilą czuł coraz silniej poczciwy pedagog, że roskoszna krasawica do niego należała. Jeszcze nigdy w życiu nie doznawał on takiego jak teraz szczęścia. Gdy sobie wreszcie Gabrjela w duchu powiedziała, że się jej plan zupełnie udał, i gdy ranny brzask poczynał rozwidniać wierzchołki drzew, wówczas powstała z ławki i pożegnawszy się spiesznie powróciła ku willi.

Bakałarz zaś pozostał na ławce zatopiony w słodkich marzeniach, zapomniawszy o tem że według umowy miał się wymknąć z obrębu willi po pod mur, w miejscu, przez które strumyk przepływał. Byliby go więc może ludzie zastali wśród jasnego dnia na ławce ze skrzyneczką na kolanach i z uśmiechem szczęścia na twarzy, gdyby nie była nań zawołała niespodzianie w gaiku ukryta Jaga:

— Aj, aj, cóż to za piękna noc dzisiaj była!

Bakałarz ocknął się z słodkich marzeń, a następnie para pokonanych sprzymierzeńców opuściła obręb willi, przed którą rankiem tego dnia wystąpiła była z wielkiemi nadziejami.

XII.

Powrót do zdrowia.

— Nie, nie, mój bakałarczyku, mówiła Jaga do towarzysza, z którym o świcie ku miastu zdążała, ja ciebie nie opuszczę, musimy oboje razem pozostać. Człowiek, który pośród ciemnej nocy przepędził długi czas na ławce sam na sam z tak wielką damą, ma przed sobą świetną przyszłość. Taka kochanka...

— Kochanka! przerwał jej mowę bakałarz głosem, z którego boleść przemawiała.

— Tak jest, kochanka, ona ciebie kocha. I dlaczegożby nie miała ciebie kochać. Wszak jesteś ładnym, bardzo ładnym chłopcem, a nadto słyszała ona twe świetne mowy podczas „demonstracji"; wiedz zaś, że takie rzeczy niewiastom się podobają.

— Taka dama i... ja! A kimże ja jestem? zawołał bakałarz z westchnieniem wśród objawów takiej pokory, jakiejby wczoraj napróżno był ktoś szukał u niego.

— Zdarza się to częściej, aniżeli sobie myślimy, odrzekła żywo Jaga, że mężczyźni z pośród ludu znajdują u nich miłość. Czyż one nie przedsiebiorą częstych wycieczek na wieś i nie pożywają tutaj z nadzwyczajnym apetytem czarny chleb i kwaśne mleko, jakkolwiek w domu nie mogą przełknąć sucharków, ananasów i szampana? Tak samo, powiadam ci, zupełnie tak samo dzieje się i w miłości.

Bakałarz westchnął znowu i potrząsnął bujnym włosem nastrzępioną głową, gdyż w jego sercu zagnieździły się już głęboko powątpiewania miłości.

— Jak zawsze dotychczas bywało, rzekła stara Jaga, nie opuszczę ciebie i teraz. Do fabryk obecnie nie możemy już powrócić, przeniesiemy sobie małe mieszkanie, gdyż tam znikniemy pośród ludności. Ja będę gospodarowała tak, iż ci na niczem zbywać nie będzie, dopóki się nie rozstrzygnie, co ci twój miłosny stosunek przyniesie. Spieniężyłam, Bogu dzięki, doskonale mój syrup, tak, iż możemy spokojnie spoglądać w przyszłość. A gdyby się nam miało mimoto źle powodzić, lub zaszedł jakiś nadzwyczajny wypadek, natenczas znalazłabym niezawodnie niejedno w tej tu skrzyneczce, którą niesiesz pod pachą. Wystarczyłoby to...

— Skrzyneczka, zawołał bakałarz, zatrzymując się i przyciskając ją mocniej ramieniem, ta skrzyneczka jest dla mnie świętością! Biada temu, ktoby się odważył...

— Dobrze, dobrze! zawołała Jaga i szła jakiś czas w milczeniu obok towarzysza, zauważywszy, iż jej słowa puszczał mimo uszu. Szedł on raz jakby we śnie, innym razem szybkim krokiem, jak człowiek, który układa ważne i stanowcze plany. Nagle stanął bakałarz i rzekł do Jagi:

— Gdy pójdziesz po swoje rzeczy do fabryki, nie zapomnij o moim flecie i przynieś mi go niezawodnie.

— Biedny chłopcze! odrzekła z ironicznym uśmiechem stara kobieta, a więc twemu czułemu sercu zachciewa się grać na flecie? Albo czy zamyślasz dawać jej na flecie z daleka znaki, że o niej pamiętasz?

— Nie! odrzekł bakałarz, zgorszony szyderstwem Jagi, chciałbym się znowu nieco przećwiczyć i zacią-

gnąć się do muzykantów w jakikolwiek sposób, abym ją mógł znowu oglądać, widzieć tańczącą na balu.

I w samej rzeczy słyszeli w najbliższych dniach sąsiedzi pewnej izdebki na poddaszu, jedni rozrzewnieni, drudzy zgorszeni muzykalną plagą, nic innego, tylko ciągłe granie na flecie od świtu do wieczora, a nawet często do późnej nocy. Rano rozpoczynał niewidzialny flecista grę po największej części od walców i kadrylów, po których atoli wkrótce następowały najczulsze melodje jak: Szuberta „Serenada“, „Pochwała łez“, albo ostatnie muzykalne pomysły Webera. Nikt z sąsiadów nie powątpiewał, że tam na górze w izdebce na poddaszu zamieszkało czułe, bardzo gorąco i nieszczęśliwie kochające serce.

W czasie, kiedy się w ten sposób bakałarz przygotowywał do balu, a Jaga czyniła potrzebne zabiegi w celu wyjednania mu przyjęcia do orkiestry, która miała grać do tańca w willi barona, nie próżnował i Van der Sluy i dokazał prawdziwych cudów, naprawiwszy w kilku dniach z rzadkim gustem wszystko, co niespokojni robotnicy popsuli.

Willa zewnątrz i wewnątrz była podobną do czarodziejskiego pałacu, do mieszkania rusałek, jaśniejącego w wiązanie kwiatów tak, iżby się nikt nie był domyślał, że pośród niej w dwóch pokojach leżeli chorzy, nad którymi czuwała stroskana, zapobiegliwa matka i kochająca dziewczyna! Przestrach owego pamiętnego dnia oddziałał szkodliwie na zdrowie Odona, Alfred zaś popadł w gwałtowną gorączkę, wskutek, jużci nieznacznej rany w połączeniu z utratą krwi,

nadzwyczajnemi wysileniami i wstrząśnieniami duszy. Minęło wprawdzie już niebezpieczeństwo, ale pozostała jeszcze bladość na twarzach rekonwalescentów i ich opiekunek, w których oczach jednakże można było wyczytać uszczęśliwienie, odblask słodkiego przeświadczenia, że odtąd należeli wszyscy do siebie na zawsze. Przywidzenia Alfreda w gorączce zawierały w sobie tyle pięknych rękojmi przyszłego szczęścia! W jasnych chwilach nie dziwił się Alfred bynajmniej, że Marja siedziała u jego łoża. Toż i obie niewiasty: baronowa i Marja miały wiele sposobności do serdecznego przywiązania się nawzajem, gdyż spotykając się często na korytarzu z okładami z lodu, lub lekarstwem, rozmawiały z sobą o ukochanych pacjentach. Jużci szeptano sobie tu i owdzie w domu tajemniczo do uchą, że Marja tak bez ogródki prawie zamieszkała u młodego mężczyzny, wziąwszy na siebie wyłączną nad nim opiekę, lecz kochająca dziewczyna nic sobie z tego nie robiła, gdy się tylko jej ojciec na to zgadzał, nie czyniąc jej choćby słówkiem przymówki. Z przedziwną odwagą i nie myśląc o tem, że tylko brak śmiałości poskramiał nieco ludzkie języki, sprowadziła Marja swego rekonwalescenta do ogrodu na własnem ramieniu, usiadła z nim na ławce, spoglądając z radością na lubą, nieskończenie życzliwą twarz baronowej, która się do nich uśmiechała, dając im znaki skinieniami głowy. Pośród ciepłej atmosfery, którą ozdrowieńcy oddychali, rozlane było jakieś szczęście i wesoła swoboda. Przedewszystkiem Alfred czuł wielką i dziwną odmianę, która zaszła w jego duszy u boku Marji,

otrząsł się on przy niej jakby z przykrego snu, ze wszelkiej próżności, fałszywej ambicji, małoduszności i sobkostwa, przywodząc sobie ze zdziwieniem na pamięć owe myśli i uczucia, z jakiemi przed kilku miesiącami wstępował do domu Fryzenów. Nie mógł się nadziwić odmianie swej całej istoty i temu, że gdy snuł w duchu plany na przyszłość, myślał tylko o drugich, nie o sobie.

Lecz taki już bywa naturalny wpływ choroby na człowieka, czego długoletnie walki i umysłowa praca, czego tysiące nieprzespanych nocy, poszukiwań i badań, czego studjowanie świata i najszlachetniejsze mędrcy nie dokażą, tego dokaże często choroba w kilku dniach i nocach! Ona odnawia, oczyszcza i uszlachetnia człowieka. Ozdrowieniec przebył duchową metamorfozę, odrodził się niejako, przeżył w sobie zimę i cieszy się rozkoszną wiosną jakby gdzieś w lepszej, szczęśliwszej krainie. Ponieważ miał się na zawsze rozstać z tym światem, nauczył się on na nowo miłować ludzi jak braci i siostry, i to nietylko samych ludzi. Jego cała istota przemawia teraz jakby ów wspaniały „duch ludzki w postaci geniusza“:

„Ziemio, powietrze i wy, morskie wody!
Jeśli pobożność od matki przyrody
W udziale dusza moja dostała,
By waszą miłość tu odczuwała,
Gdy ranna rosa, południe przyjemne,
Urok zachodu i pomroki ciemne
Cichej północy, czary jesieni,
Zima ze śniegiem bez drzew zieleni
Miały coś dla mnie tak wielce drogiego,

Jeśli ptaszyna i robak mały
We mnie pokrewną istotę miały,
Gdym je, nie krzywdząc zawsze miłował,
Wówczas dozwólcie, abym zachował
Cząsteczkę waszej dawnej miłości,
Nie ganiąc słów mych, pełnych szczerości.

W tem też usposobieniu patrzał Alfred z większą pobłażliwością na przygotowania do uroczystości, które się mu przedtem wydawały być pewnym rodzajem komedji, a nawet oszustwem. Wyczekiwał teraz z mniejszą obawą zbliżenia się katastrofy, która zagrażała domowi Fryzenów. Kochał on i lgnął do baronowej i jej dzieci, wiedząc, że je Van der Sluy i Marja jednako miłowali. Te poczciwe istoty były kochane; czyż to nie było pociechą na przyszłość, czyż było potrzeba jeszcze czegoś więcej w nieszczęściu?

— Oby tylko wszyscy, pomyślał sobie Alfred w duchu, którzy w przepaść lecą, znaleźli na jej dnie tak miękkie posłanie.

XIII
Bal.

Wreszcie nadszedł dzień tak ogromnemi kosztami przygotowywanej uroczystości, którą zapowiedziano jako wiejską zabawę, i dlatego już około czwartej godziny popołudniu nadjeżdżały powozy. Tłumnie napływali goście, a między nimi najwyżsi urzędnicy państwowi, dostojnicy i członkowie najwyższych kół towarzyskich,

tym razem z żonami i córkami, ile ich tylko w stolicy i w okolicznych dworach i willach bawiło. Przybył bowiem nawet sam wszechwładny książę Wiktor, właściwy rządca kraju, który zachęcał był osobiście wiele osób do przyjęcia zaprosin barona Fryzena. Hrabia Kamiński wywiązał się u niego z swego zlecenia z wielkiem powodzeniem i takiego był zdania sam hrabia, takiego pan Fryzen, który księcia przywitał u stopnia powozu, mieniąc się szczęśliwym, iż go mógł znowu w swym domu oglądać. Książę uśmiechnął się łaskawie, uścisnął gospodarzowi rękę, zaręczając, iż zawsze chętnie do jego domu zaglądał. U wnijścia do ogrodu stała baronowa, już nieco znużona przyjmowaniem licznych gości, których dotąd w dom wprowadziła, uścisnąwszy im rękę według angielskiego zwyczaju, którego podówczas w stolicy przestrzegano. Przed księciem skłoniła się nisko, potem jeszcze niżej, postępując w tej mierze za wskazówką męża, który jej oczyma dawał znaki. Książę Wiktor podał jej stósownie do przyjętego zwyczaju rękę, spoglądając na nią badawczo w celu przekonania się od razu, o ile się zmieniła od czasu jego ostatnich odwiedzin. Potem uśmiechnął się, jak gdyby jej był chciał powiedzieć: „Pani jesteś jeszcze ciągle piękną!“ I baron uśmiechnął się. Troski, wewnętrzne wstrząśnienia i niepokoje w ciągu ostatniego tygodnia, wywołały na jej twarz bladość, nadając jej wyraz wyższego nastroju, tak, iż teraz była podobniejszą do damy światowej aniżeli kiedyindziej, a to spostrzeżenie zdawało się sprawiać księciu zadowolenie. Widocznie też chciał się on skłonić baronowej łaskawie, lecz z trudnością

tylko przychodziło mu nagiąć olbrzymią budowę ciała które zawsze w sztywnej wojskowej utrzymywał postawie, tak, iż tylko lekko głowę skłonił. Podczas gdy książę z baronową rozmawiał, witały go trzy w ogrodzie umieszczone orkiestry huczną nader muzyką. Ta wrzawa instrumentów i badawczy, ciągle na niej spoczywający wzrok męża oszołomiły baronowę tak, iż nie zdołała zachować się w obec księcia według wskazówek udzielonych jej od męża w ciągu ostatnich dni, tem więcej, ile że myślała równocześnie o chorym dziecku, które tam na górze spoczywało, iż coraz niżej pochylała głowę, czując, że naprzemian to się rumieniła to znowu bladła. Książę uśmiechnął się powtórnie i postąpił kilka kroków naprzód ku towarzystwu. Lecz nagle jakby sobie był coś przypomniał, powrócił do baronowej, pochwalił kilku uprzejmemi słowy wytworne przygotowania na bal, ujął ją za rękę i ucałowawszy ją postąpił dopiero teraz dalej na piaskiem wysypany plac przed willą, na którem go czekały powitania gości.

Podobnie jak świeżo powiewający wiatr pochyla polne zasiewy, tak samo pochylały się szeregi i grupy zgromadzonych tam osób, gdy około nich przechodził książę Wiktor w pełnym uniformie, przewyższając głową całe towarzystwo. Nie kłaniały się mu tylko trzy orkiestry, które go teraz znowu witały w przestankach szumną muzyką. Książę odwzajemnił się lekkim uśmiechem dwom orkiestrom, a to dlatego, ponieważ się składały z wojskowych muzykantów jego pułku i no-

siły jego uniform. Na trzecią orkiestrę nie zwracał wcale uwagi.

Niebawem zbliżył się książę Wiktor do gaiku i miał już wstąpić pod jego cieniste drzewa, gdy nagle z jego głębi wybiegła Gabrjela, promieniejąca i lekka jakby różowy obłoczek w wyperfumowanej różowej sukience, z obnażoną szyją i ramionami. Jej krucze włosy oplatały jej głowę gęstą kosą, utrzymywane jednym węzłem z przodu nad czołem dwiema wąskiemi wstążkami, na których się mieniło mnóstwo lśniących kamieni. Tylko pojedyncze kędziory spływały jej na szyję i ramiona, uwydatniając czarnym połyskiem, jeszcze bardziej białość i delikatność jej ciała. Była to żywa kopia znanego antyku „głowy Arjadry“, i jakby antyk, tchnąca prostotą a zarazem majestatyczna stała Gabrjela przed księciem, ale tylko chwilkę. Ja gdyby ją był pokonał widok tego potężnego męża, skłoniła się przed nim, opuszczając prawą rękę, a lewą tuląc do piersi na znak uległości.

Ostatnia mieszczańska orkiestra miała teraz przed swymi oczyma piękne widowisko. Piękną była już sama wspaniała postać Gabrjeli, piękniejszym widok, jak dumny książę popadł w zdumienie, a po chwilce szybkim krokiem ku niej się zbliżył, i jak to można było łatwo poznać po jego słodko ułożonych ustach, prawił jej grzeczności, które ona przyjmowała z uroczym uśmiechem, lub z objawem największej skromności! potem powiódł ją książę ku ławce i usiadłszy z nią na niej, począł się zabawiać bardzo wesoło z piękną sylfidą. Równocześnie zabrali z sobą jego adjutanci ba-

rona Fryzena i powrócili z nim na plac, na którym większa część towarzystwa tańczyła, albo się tańcom przypatrywała.

Bąkałarz, który należał do muzykantów trzeciej orkiestry, nie mógł znieść widoku księcia, wdzięczącego się do pięknej Gabrjeli i odezwał się z jakiemś porywczem, mniej oględnem słówkiem.

Usłyszał to basista i zaczął go strofować:

— Ty, daj sobie pokój: takie wyrazy nie są na miejscu. Jesteś dopiero frycem w naszem towarzystwie, aby módz tak swobodnie przemawiać. Kimże to jesteś właściwie, ty faworycie Jagi?!

Bakałarz nic nie odpowiedział, był on widocznie zanadto zajęty pracą, siedzącą na ławce, w którą zatapiał wzrok gniewny, spoglądając chwilami na piękną w istocie Gabrjelę, z wyrazem tak niezmiernej tęsknoty i rozpaczy, iż jego koledzy, obecni muzykanci śmiać się musieli.

— Daj pokój bakałarzyku, zawołał klarnecista, to nie dla nas takie rzeczy, zachciewa się ci szampanu lub kawioru, a my możemy sięgać tylko po piwo lub ser krowi. Musisz już do nich nawyknąć, jeśli chcesz pośród nas zachować takt!

Mimo tego praktycznego upomnienia tracił bakałarz takt bardzo często i wydobywał bardzo niemuzykalne tony, gdy wreszcie książę powstał i puścił się z Gabrjelą w tany, walcując z nią zapamiętale. Parkiet przed tą trzecią orkiestrą był dotychczas najwięcej zaniedbywanym, tylko najmłodsze i najmniej śmiałe pary chroniły się tutaj, a towarzystwo wytworne tańczyło w od-

daleniu przed główną wojskową orkiestrą. Młodzież ustąpiła księciu miejsca, tak, iż zdaleka można było widzieć nową parę tańczących. Wkrótce zgromadziło się towarzystwo w to miejsce tak, iż liczebnie najmniejsza i najlichsza orkiestra stała się środkowym punktem zabawy, której bohaterem był książę Wiktor. a bohaterką od razu Gabrjela się stała, ponieważ z nią taniec rozpoczął i widocznie pierwszeństwo jej przyznał. Najżywsza nienawiść musiała tutaj zamilknąć, każdy, kto się jej teraz z bliska przypatrzył, musiał przyznać, że jej uroda wyniosła ją na królowę balu. Książę objął ręką jej smukłą kibić jak zdobywca, z taką brawurą, jak gdyby jej już nigdy nie miał wypuścić, ona zaś trzymała od niechcenia rękę na jego ramieniu. Jej tryumf byłby był zupełnym, gdyby przy końcu tańca nie był powstał ogólny głośny śmiech, wywołany przeraźliwym, nieharmonijnym tonem fletu, który w istocie w nader śmieszny sposób przeciągnął się jeszcze kilka sekund dłużej po zakończeniu przez muzykantów granego utworu. Wszyscy goście zwrócili się wśród śmiechu ku orkiestrze wraz z Gabrjelą, która pobladła, ponieważ na nią spoglądał nieruchomo bakałarz, okiem pełnem zazdrości. Zrozumiała ona natychmiast, co się w jego duszy działo, i dlaczego się wmieszał do orkiestry. Zagrażały jej publiczne zgorszenie i odkrycie jej zbrodni, ponieważ poczciwy bakałarz wypatrzył się na nią jak szalony! Gabrjela nie spuszczała z niego ócz, uśmiechnęła sie i ruszyła ramionami, chcąc przez to niejako wytknąć księcia, a przecież mogło zarazem oznaczać jej zdziwienie, iż bakałarz mógł zazdrościć,

księciu! Twarz bakałarza zmieniła się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i on się uśmiechnął, chwilowo nie było szczęśliwszego od niego człowieka w całem towarzystwie.

— Najpiękniejsza niewiasta, pomyślał sobie w duchu, królowa balu uśmiechnęła się do mnie! Nikt nie przeczuwa słodkiej tajemnicy, która nas z sobą łączy. Od boku księcia uśmiechnęła się ona do mnie, biednego bakałarza, ona kocha mnie, nie jego! Ona przenosi mnie nad księcia. O, jakże to słodka tajemnica!

Klarnecista i basista obarczyli go wyrzutami, ale jego to nie obchodziło wcale, on był szczęśliwy, szczęśliwy nad wyraz!

Gdy jeszcze był pogrążony w słodkich marzeniach, oddaliło się całe towarzystwo z księciem i Gabrjelą na czele przed główną wojskową orkiestrą. Nikt z tych wysokich osobistości nie domyśliwał się, że im przewodziła Gabrjela, kierując postępkami księcia, rozumiał to tylko sam gospodarz baron Fryzen, który może najmniej podzielał uroczystą wesołość, która teraz powszechnie zapanowała, gdyż wszystkich gości porywał sobą książę, który był w e s ó ł! Miłośnicy tańcu cisnęli się na murawach i parkietach, gdziekolwiek się oko zwróciło. wszędzie przechadzały się piękne pary, siedzieli za stolikami, albo na murawie goście, raczący się przekąskami i doskonałem winem. W przerwach jedni i drudzy biegli wśród śmiechów do cienistego lasku i wybiegali znowu z niego ze śmiechem, gdy muzyka dała hasło do tańcu. Przekonanie, że w domu barona Fryzena nie było potrzeba trzymać się ściśle

przepisanych form, przyczyniało się wielce do tego, iż bal, przez niego wydany wypadł świetnie i był bardzo ożywiony.

W tem wesołem upojeniu, w którem się o wielu rzeczach zapomina, zwracali jednakże wszyscy goście uwagę na szczególnie łaskawe obcowanie księcia z piękną córką wychodźcy. Ci, którzy o tem zapomnieli, oświadczali teraz, że Gabrjela, panna de Chaumont urodzeniem równą była najznakomitszym osobom z pośród szlachty, urodą zaś przewyższała wszystkie niewiasty. Zajęci Gabrjelą nie uważali goście, że sama pani domu jak najrzadziej pośród nich się pokazywała i nie myślała wcale o wysunięciu na pierwszy plan swojej osoby. W istocie też wykradała się baronowa przy każdej sposobności na górę do chorego dziecka, nad którem troskliwie czuwali Alfred i Marja. Jeśli na korytarzu spotkała którego ze służących z jakimś posiłkiem, natenczas wybierała co najlepsze, i niosła to cichym i skromnym przyjaciołom, obok których doznawała większej przyjemności, aniżeli pośród przepychu i hucznej zabawy na balu. Nie zauważali także i tego goście, że gospodarz baron Fryzen, chodził po sali blady, z kurczowo zaciśniętemi ustami i często się zatrzymywał przed tańczącymi, spoglądając z ukosa na księcia, który według jego dokładnej, chwilowo nawet głośnej rachuby, po raz trzeci, czwarty i piąty, z Gabrjelą tańczył. Nie zwracano na to uwagi, iż ten sam baron Fryzen, który wydawał bal, czasami wykradał się do gaiku i tutaj spiesznym krokiem się przechadzał, jak gdyby go cała zabawa nie była obchodziła. Sam tylko hrabia Kamińsk

zauważył to i udawał się do lasku, aby barona zabrać z sobą do gości. Gdy przyszedł do niego po raz trzeci, chwycił go Fryzen za ramię i zapytał drżącym głosem:

— Czyś pan tego nie zauważył, on jej ani na chwilę nie opuszcza, zatapia w niej oczy, jak gdyby ją niemi chciał pochłonąć, ten rozpustnik, ten...

— O kim pan mówisz?

— O księciu... Gabrjeli...

— Ależ kochany przyjacielu! powiedział hrabia Kamiński, czy w tej krytycznej chwili nie masz o czemś innem ważniejszem do myślenia? Pańska żona, dzieci, pański honor i przyszłość i wszystko rzucone na kartę... a pan nie posiadasz na tyle mocy w duszy, aby te miłostki...

— Dosyć tego, kochany hrabio, przerwał mu żywo mowę Fryzen, tylko żadnych kazań, żadnych wyrzutów! Ta namiętność pożera mnie. Gabrjeli nie dam sobie wydrzeć, chociażby wszystko miało zniszczeć z tej przyczyny.

Po tych słowach powrócił baron do towarzystwa i wodził okiem po całym zapełnionym placu, dopóki nie ujrzał Matyldy, która tam pod cieniem oleandru z jakimś staruszkiem siedziała. Szybko postąpił ku niej i kłaniając się starcowi rzekł z uśmiechem:

— Daruj ekscelencjo, że ci uprowadzę moją żonę!

A zwróciwszy się do niej dodał jeszcze grzeczniej:

— O, ty niedobra żono! może o tem jeszcze wcale nie pomyślałaś, żeśmy z sobą dotychczas ani razu nie puścili się w tany?

Blada twarz baronowej zarumieniła się z radości,

w okamgnieniu stanęła przy nim i oparłszy rękę na jego ramieniu weszła lekkim krokiem i uszczęśliwiona pomiędzy tańczących. Gdy się z mężem puściła w tany, zdawało się jej, że się unosiła na skrzydłach i dopiero teraz owiała ją na chwilę jakaś balowa ochota. Lecz wkrótce spotkało ją rozczarowanie, gdyż po zakończeniu drogiego tańca spostrzegła ogromną zmianę w wyrazie męża. W istocie odprowadził ją baron kilka kroków na bok od towarzystwa i spoglądał na nią gniewnie; owszem, jej się zdawało że ją mierzył oczyma od stóp do głowy z pewnem lekceważeniem.

— Czy ty o tem wiesz, przemówił do niej baron stłumionym, przenikliwym głosem, że licho odgrywasz rolę pani domu, że jesteś w najwyższym stopniu tak, że aż rozpacz zbiera, niezręczną!

— Feliksie! na Boga!... ja? i cóż złego uczyniłam, co mam czynić?

— Książę... księcia!...

— Cóż z tym księciem? zapytała z trwogą baronowa.

— A wszakże ty wcale dla niego nie istniejesz...

– Ach, i to już wszystko? zapytała Matylda z widoczną ulgą w duszy, nie lękaj się, on się bynajmniej nie nudzi! Może tego nie zauważyłeś że go sobie zupełnie podbiła Gabrjela. On ciągle jest przy niej, tańczy prawie tylko z nią samą. Jest on w bardzo dobrym humorze i wesół, jak nigdy. A ponieważ i Gabrjela należy do naszego domu, więc na cóż potrzeba jeszcze...

Baron tupnął nogą o ziemię i rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Gabrjela, Gabrjela... otóż to właśnie sęk... Ty, ty powinnaś...

— Ależ, kochany Feliksie, ja ciebie nie rozumiem! odpowiedziała baronowa.

— A to istna rozpacz, mieć żonę, która niczego nie rozumi! Czyż ty niczego się nie domyślasz? Nie wiesz, o co się tutaj rozchodzi, do czego ma posłużyć dzisiejsza uroczystość. Ja muszę upewnić się co do osoby księcia, bo go potrzebuję. Tobie wypada oderwać go od Gabrjeli, podobałaś się mu zeszłej zimy i tylko ze względu na ciebie przyjął zaproszenie. Powinnaś się mu spodobać, potrzeba się około niego zakręcić, aby cię pokochał, ja tego chcę! Otwórz wreszcie oczy, bo już czas po temu, porzuć dziecinną, ograniczoną naiwność i rozpoznaj, co jest koniecznością i czego się świat domaga!

Matylda stała nieruchomo jak posąg, zapatrzona w twarz męża, i tylko się jej wargi poruszały, lecz nie wymówiły ani jednego słowa, chociaż się od niej Fryzen już dawno oddalił. Potem potarła sobie ręką czoło, jak gdyby się była przebudziła z przykrego snu, tak długiego, jak długo trwało jej dotychczasowe życie. Naraz wyprostowała się dumnie i poruszyła znowu ustami, chcąc coś powiedzieć, lecz spostrzegła dopiero teraz, że była samą. Szukała więc oczyma męża i ujrzała go przy księciu.

— Być może, szepnęła cicho, że on mu teraz zachwala moje przymioty.

Na twarzy baronowej uwydatniły się w tej chwili taka gorycz i szyderstwo, jak jeszcze nigdy przedtem,

niktby ją nie był poznał teraz. Ona sama ulękła się zmiany, jaka nagle zaszła w jej duszy, wystrojeni tancerze i tancerki wydawali się jej teraz być upiorami, albo lalkami i przebranemi trupami. Jednym susem odskoczyła w tył nieszczęśliwa baronowa po za krzaki i pobiegła spiesznie wołając ciągle: „Moje dzieci, moje dzieci!“ samotną drogą ku willi, a następnie schodami do pokoju, w którym Lindau jej dzieciom opowiadał ciekawą baśń o czarownicy i pięknej dziewczynie z jasnemi powłoczystemi włosami.

Lindau atoli oniemiał, gdy jej w twarz spoglądnął. Nie zbliżyła się ona do łóżka, na którem siedział Odo, lecz spoczęła w kącie blisko drzwi na podnóżku i płakała gorzkiemi łzami. Marja przyskoczyła do niej i uklękła. Baronowa objęła jej jasnowłosą główkę i przycisnęła do serca, powtarzając kilkakrotnie:

— O, ty szczęśliwa, szczęśliwa dziewczyno!

Potem powstała, zbliżyła się do łóżka i kładąc ręce na głowy swych dzieci zawołała uroczystym głosem:

— Oby was Bóg dobrotliwy zachował od przepychu i bogactwa, błagam Go dla was o ubóstwo, los cichy i skromny!

XIV.

Niespodzianki.

Nadszedł wreszcie wieczór, niebo pochmurzyło się nieco, a całe towarzystwo na balu z księciem i Gabrjelą

na czele, poprzedzane wojskową muzyką, grającą sposobem tryumfalnego marsza, pięknego polonesa, wiło się wężykowatym pochodem przez ogród i park, zdążając do przepysznie oświetlonej willi, w której się bal miał dalej odbywać w ciągu nocy. Słysząc skoczną muzykę i wrzawę balową niktby się nie był domyślał, że o ścianę tylko spotkałby się był z domową sielanką wśród ciszy i miłego spokoju.

Baronowa siedziała o tym czasie u Odonowego łóżka i trzymając na kolanach Pawełka przysłuchiwała się Alfredowi, który na jej prośbę opowiadał po raz drugi piękną historję o czarownicy i urodziwej dziewczynie z powłoczystemi włosami.

Gdy Alfred skończył już opowiadać, zarzucały mu dzieci, że tym razem wiele szczegółów przedstawiał inaczej aniżeli pierwotnie. Matylda zaś rzekła:

— Tego tylko nie pochwaliłabym, iż bohaterowie i bohaterki w baśniach zwykli się stawać przy końcu opowiadania wielkimi dostojnikami i bogaczami, a to wpaja w dzieci przekonanie, że inaczej nie można być szczęśliwym. Powinieneś pan, panie Lindau, opowiadać dzieciom raczej baśnie, w których królowie i książęta korony i złociste szaty zrzucają, albo utracają, a dopiero potem po długich cierpieniach stawają się szczęśliwymi jako ubodzy ludzie wśród spokoju i przestawania na małem.

Dzieci nie dozwoliły odpowiedzieć Alfredowi, nie zgadzały się one z matką i utrzymywały, że ubodzy, tyle cierpiący ludzie powinni w końcu zostać bogatymi, bardzo bogatymi i, o ile możności królami i królowemi.

Matylda uśmiechnęła się znowu i na widok dzieci, ujmującemi się tak gorliwie za bohaterami baśni, zniknął z jej twarzy wszelki wyraz zmartwienia, jaki się dotychczas na jej twarzy malował. Uczucie, które owładnęło jej duszę po zajściu z mężem, było dla niej rzeczą tak obcą i nową, że się łatwo rozwiało, ponieważ i zmartwienie, zgryzota i smutne doświadczenia potrzebują czasu do zapuszczenia w ludzkiej duszy korzeni, podobnie jak nieszczęśliwy nie może zostać nagle szczęśliwym.

Siedząc przy dzieciach w towarzystwie miłych osób szarą godziną w dziecięcym pokoiku przy świetle jedynej lampy, którą Marja tymczasem zapaliła, zapomniała baronowa o tem, co ją niedawno spotkało, jakby o złowrogim śnie, który na widok wesołej rzeczywistości staje się nieprawdopodobnym. Pozostała jedynie w jej duszy jeszcze obawa potrzeby powrócenia w ów świat, w którym ją tak przykre sny dręczyły, to też siedziała w pokoiku i gawędziła z dziećmi, Lindauem i Marją, jak gdyby wcale nie była panią domu, która powinna była gości zabawiać, i nie myślała już do nich wracać tego wieczora.

Wtem rozwarły się drzwi z trzaskiem, a do izby wpadł baron Fryzen i stanął przed żoną. Był on tak wzburzony, jakim go jeszcze ani Lindau, ani żaden człowiek dotychczas nie widział. Baronowa Matylda powstała, drżąc na całem ciele z przestrachu.

— Jeśli mi masz co do powiedzenia, błagała męża, przypomniawszy sobie ostatnią z nim rozmowę, natenczas wyjdźmy z pokoju!

On atoli nie zważał na jej prośbę i odrzekł z goryczą drżącym głosem:

— Już całe towarzystwo zgromadziło się w salonach, książę dopytywał się już dwukrotnie o panią domu, która się atoli ani na chwilkę nie pokaże, jak gdyby miała powody do ukrywania się! A, to sromota, u mnie panuje taka gospodarka jakby gdzieś u chłopa.

Rzekłszy to wybuchł tak głośnym śmiechem, że się rozległ po całym korytarzu.

Pawełek zaś usprawiedliwiając matkę odrzekł:

— Mama przysłuchiwała się tutaj tak pięknej historyjce!

Baron rozśmiał się znowu i powiedział:

— Tak, tak, historyjki, baśnie, to rzeczy godne baronowej Fryzenowej! Byłaby doskonałą boną ta pani Fryzenowa, to prawda, ale, ale...

Tutaj urwał nagle, rozgoryczony. Matylda skorzystała z tej przerwy i rzekła łagodząco:

— A więc pójdź, powróćmy do towarzystwa, przeproszę gości, którzy mi nie poczytają za złe, że byłam u słabego dziecka...

— Dziecko, dziecko, powtórzył baron, gdybyś posiadała tylko trochę rozsądku, mogłabyś była dzisiaj w korzystniejszy sposób postarać się o swoje dzieci! Pójdź więc! zawołał potem i chwycił ją za ramię, jak gdyby ją był chciał przemocą za sobą pociągnąć.

Nagle zatrzymał się i zmierzywszy ją oczyma od stóp do głowy zawołał gniewnie:

— Jak ty dzisiaj wyglądasz? toż z ciebie istna kwieciarka, albo dziewczyna, idąca do konfirmacji, co za

udana prostota w twym stroju, teraz tańczą goście przy świetle, idź, włóż na siebie klejnoty, djamenty!

— Djamenty? szepnęła Matylda.

— No tak, djamenty, nie wszystkie, tylko trochę do włosów i naszyjnik. Damy przywdziały dzisiaj wszystkie klejnoty, były one oględniejsze od samej gospodyni, wiedziały, co winne księciu i że będą tańczyły w salonach przy świetle.

— Djamenty? powtórzyła Matylda i dotknęła się drżącą ręką włosów.

— Tam do d....! tak, djamenty, zawołał tupiąc nogą Fryzen, ileż ci to razy mam powtarzać? Sztajnmecowa ma ich cały rój we włosach, Wajmilerowa zaś ma całą przepaskę djamentową. Niechby nie mówiły, dodał baron, śmiejąc się dziko, że twoje klejnoty już zastawione.

— Djamentów, odrzekła baronowa cichym głosem, już nie ma!

— Co mówisz, czy to być może, gdzież się podziały? pytał drżący od gniewu Fryzen.

— Gdy mi niespokojni robotnicy z fabryki, odpowiedziała nieśmiało Matylda, przestraszyli dziecko chore, lękałam się, aby nie byli wpadli do pokoju, bo się głośno domagali chleba. Chcąc ich więc uspokoić wydałam im, skrzynkę z klejnotami.

Fryzen uderzył się ręką w czoło i odrzekł.

— I to jeszcze, a ja tak liczyłem na te klejnoty! Jutro, jutro potrzebowałem je mieć, a one stracone. O, to już widocznie wszystko się kończy!

Po tych słowach wyszedł chwiejnym krokiem z pokoju. Alfred i Marja, którzy się w ciemny kąt pokoju

schronili i byli mimowolnymi świadkami tej przykrej sceny, wypadli teraz z ukrycia, aby pochwycić w objęcia bliską omdlenia baronową i uspokoić dzieci, które teraz po odejściu ojca, przeczuwając nieszczęście, w głos płakać zaczęły. Matylda jednakże nie zemdlała, ale usunąwszy rękę Marji wyprostowała się i namyśliwszy się chwilkę pobiegła do przyległego pokoju. Po niejakim czasie powróciła z niego z rozmaitemi ozdobami we włosach, na szyji i na rękach, a ucałowawszy dzieci zawołała z wielkiem rozrzewnieniem, a przecież z nieco ironicznym uśmiechem:

— Teraz idę tańczyć!

Baron tymczasem wszedł do salonów, wyprostowany, dumny jak zawsze i z uśmiechem na twarzy. Opowiadał on każdemu kogo tylko z gości spotkał, jakby jaką drobną, lecz zajmującą nowinę, że znikły djamenty jego żony, prawdopodobnie w rękach złodzieja. Te djamenty były, jak wszystko, czego ludzie drugim zazdroszczą, powszechnie wsławioną rzadkością, dlatego też wieść o ich zniknięciu była wielką dla gości niespodzianką, którą sobie lotem błyskawicy z ust do ust podawano. Oprócz tedy tańcu, szampana, gry w karty i t. d. miało teraz towarzystwo nowy przedmiot do zaprzątnienia min ducha i języka. Naczółek z djamentów sam przez się bywa w podobnych sferach rzeczą wielkiej wagi, a kradzież djamentów nabiera już znaczenia politycznego wypadku. Już po upływie kilku minut znaczna część gości utworzyła niejako gremium sędziów śledczych. Poczęto badać, ktoby też mógł był popełnić tak śmiałą i wielką kradzież, czy ktoś ze służby,

albo, jak się to często zdarza, jaki drogi krewniak, lub przyjaciel domu? Któraś z dam wyrwała się z zapytaniem, czyby się nie obniżyły przez to ceny djamentów, gdyby też skradzione, których było tak wiele, dostały się w obrot handlowy? W kwadrans później znaleźli się już w towarzystwie sceptycy i powątpiewający, którzy siebie samych i drugich pytali, czy oblatująca gości nowina nie była czczym wymysłem, i czy rzeczywiście djamenty skradziono, lub może się tylko w inny sposób ulotniły? Trudno być pewnym, bo i takie wypadki się zdarzają. Jedni utrzymywali, że niekiedy dostają się djamenty, będące własnością damy, w ręce przyjaciółki, inni przypominali sobie teraz rozmaite pogłoski o lichym stanie interesów barona Fryzena, które doszły ich uszu z miasta. Taki bankier chwyta się w rozpaczliwem położeniu wszelkich środków, nawet żonine djamenty nie będą wówczas dla niego świętością. A zresztą ludzie znają baronowę. Ona się ani nie domyśla, że rodzinnych klejnotów należy bronić, jak broni młodych lwica, jak się broni honoru swego domu! Zupełnie inną kobietą, mówiono sobie, była hrabina Hanklowa, która w czasach niespokojnych nosiła nieustannie swe djamenty, zaszyte w watowanej spodnicy, w której nawet z heroizmem Regulusa w nocy spała, a djament nie jest przecie doprawdy miękkim kamieniem!

Jakkolwiek kradzież djamentów nie mało zajmowała umysły i języki gości w domu barona, znalazł się przecież jeszcze ważniejszy od niej przedmiot do omawiania. Szeptano sobie o nim tylko na ucho, nie wymawiając nazwiska żadnej osoby, spoglądano na siebie

tajemniczo i wymownie, ale to się działo tylko pomiędzy najlepszymi znajomymi. I w istocie, czyliż może być coś ważniejszego nad to, gdy wszechwładny książę widocznie i jawnie obsypuje swymi względami jakąś damę w towarzystwie, w którem się właśnie znajdują świadkowie tej jego niezwykłej łaski. Czyż to nie ważny objaw, gdy prawie tylko z nią samą tańczy, a czasami nawet wziąwszy ją pod ramię znika z nią na kilka minut w małym chodniku za orkiestrami pośród gęstwiny roślin, które tutaj Van der Sluy tak misternie ustawił.

Gabrjela słynęła oddawna z urody, atoli jeszcze nigdy nie znajdywano jej tak piękną jak dnia dzisiejszego. Blask książęcej osoby spływał widocznie i na jej oblicze, tak, iż jaśniała teraz większym niż kiedyindziej urokiem, wszyscy wychwalali jej wdzięki, te pochwały tylko tam milkły, gdzie się zbliżył książę Wiktor, i malowały się jedynie w słodkim wyrazie twarzy i jak najniższych ukłonach!

Jakkolwiek towarzystwo z tem się kryło, zauważyło ono przecież, że Gabrjela nagle wypuściła ramię księcia i z uroczym uśmiechem królowej balu przez tłum się przeciskała, zdążając ku ogólnemu zdziwieniu ku mężczyźnie, którego w towarzystwie najmniej poszukiwano, ku hrabiemu Egonowi. Aż do tej chwili zaledwie zauważyli goście, że się on pomiędzy nimi zjawił, i w samej rzeczy przybył on na bal właśnie dopiero teraz i stanął milczący i zamyślony po za posągiem obstawionym kwiatami.

Zanim się spodział, już go ujęła Gabrjela pod ramię, i zanim ochłonął ze zdziwienia, już siedział przy

niej na sofie w małym chodniku poza trzecią orkiestrą, zdala od towarzystwa, w miejscu oświeconem tylko światłem jednej różowej lampki. Tutaj mogli ich widzieć tylko sami członkowie orkiestry, gdyby się chcieli przechylić poza tylną balastradę. Nadto byli ci muzykanci zbytecznie zajęci, gdyż grali właśnie melancholijnego Lauerowskiego walca. Im bliższą była muzyka, tem głośniej można było rozmawiać bez obawy przed niepowołanymi świadkami, tem dogodniejsza nastręczała się sposobność do przysunięcia się jaknajbliżej jednej osoby do drugiej, jak to właśnie uczyniła Gabrjela, przykładając prawie usta do ucha Egona.

— A gdzież to pan przesiadujesz, kochany panie Egonie? zapytała Gabrjela hrabiego z pewną wymówką w spojrzeniu, szukałam pana w ogrodzie po wszystkich kątach, tak samo w willi i dopiero teraz udało się mi pana spotkać!

— Dopiero teraz tutaj przybyłem! odrzekł Egon niby obojętnie, lecz można było poznać, że się zachwiał w powziętem postanowieniu zachowania ostrożności wobec Gabrjeli.

— Dopiero teraz, zapytała ona, dlaczegoż tak późno? Czyliż się nie umówiliśmy oddawna, że przynajmniej trzy razy z sobą na balu, tańczyć będziemy?

— Nie miałem wcale przybyć tutaj, odrzekł Egon powoli, zabawa ogrodowa wydawała się mi zanadto wesołą, lecz trudno było odmówić baronowej, dlatego namyśliłem się i przybyłem przecie.

— A więc ja, moja osoba nie przyczyniłyśmy się wcale do zwabienia pana tutaj?

Egon spoglądał w milczeniu do wnętrza swego kapelusza.

— A, pan jesteś okrutny, panie Egonie, mówiła dalej Gabrjela, właśnie dla mnie i tylko dla mnie samej powinieneś pan był tutaj przybyć, aby mi nastręczyć sposobność do przeproszenia pana...

— Do przeproszenia mnie? Ja... panno Gabrjelo... wypowiedział Egon zajękliwym głosem.

— Tak jest, odrzekła Sylfida, muszę pana przeprosić z całego serca, jakżeż się zachowałam względem pana, pokazałam panu drzwi, jakbym była prawdziwą furją. Ale kochany przyjacielu, niech pan rozważy, że pan byłeś pierwszym i jedynym mężczyzną, który tak nieproszenie wpadłeś do mego pokoju! Jam była w negliżu, na pół rozebrana...

Gabrjela zamilkła tutaj i spojrzała ku lampce, której czerwone światło oblało jej twarz nadobnym rumieńcem.

— A potem, mówiła dalej, zaskoczyłeś mnie pan w chwili, w której okazałam niewieścią ułomność. Czegoż pan chcesz, ja jestem kobietą, chciałam dzisiaj przypróbować fałszywych klejnotów, i udawało się mi, że każdy, ktoby mnie w nich ujrzał, odgadnie, że to były fałszywe kamienie. O, udzieliłeś mi pan nauczki niepośledniej. Nie mogłam się też zdecydować do przystrojenia się dzisiaj w fałszywe klejnoty i wolałam przybyć na bal taką, jaką teraz jestem, jaką mnie pan tutaj widzisz, ubogą dziewczyną, nie posiadającą żadnych klejnotów. Lecz nie o tem miałam mówić, chciałam tylko pana prosić i to serdecznie, abyś mi pan przebaczył moję porywczość, a nadto, abyś nikomu nie

mówił, w jaki sposób i na jakiej słabostce mnie przydybałeś.

Hrabia Egon pochwycił jej rękę i okrył ją pocałunkami.

— Pani jesteś aniołem, zawołał z zapałem i łzami w oczach, jam jest winowajcą, ja powinienem prosić panią o przebaczenie!

— Wiesz pan, zapytała Gabrjela, jaka myśl, jakie podejrzenie obudziły się na chwilkę w mej duszy, kiedy pan tak nagle wpadłeś do mego pokoju? Oto pomyślałam sobie: On ciebie chce poniekąd wobec ciebie samej skompromitować, aby cię przymusić do zdecydowania się, pragnie cię ujrzeć w takiem położeniu, w jakiem tylko mąż żonę widzieć może! Atoli ta haniebna myśl nie postała ani sekundy w mej głowie, bądź pan spokojny, nie potrzebujesz mnie pan o tem zapewniać! Ja pana znam, jesteś szlachetnym człowiekiem i niezdolnym do podobnego obrachowania. A potem pan wiesz, że nie potrzeba takich sztuczek, moja przyjaźń względem pana... ja...

— Mów pani dalej, zaklinam panią, zawołał Egon z roziskrzonemi oczyma, pani mnie uszczęśliwiasz, jesteś aniołem!

— Nie, aniołem nie jestem! odpowiedziała Gabrjela, powinnam być względem pana otwartą. Gdy panu duszę odsłonię, natenczas nazwij pan to mocą, lub słabością charakteru, lecz będę otwartą.

— Panno Gabrjelo, mów pani, zawołał uradowany Egon, zdaje się mi, że dla mnie nadeszła chwila rozstrzygająca.

— Kochany hrabio Egonie! odpowiedziała Gabrjela, w świecie, do którego należę, znosiłam nieskończenie wiele upokorzeń jedynie dla tego, że jestem ubogą i że musiałam od drugich przyjmować opiekę i dobrodziejstwa. W tym samym świecie muszę też znaleść odwet, muszę w nim módz wystąpić jako osoba bogata, otoczona przepychem, posiadająca władzę! Nazwij pan to małodusznością, zawiścią, jak się panu podoba, atoli ponieważ już od dzieciństwa sprawiały mi boleść owe upokorzenia, przeto i ta myśl zrosła się z moją istotą już od najrańszych lat, tak, iż się jej już pozbyć nie zdołam. A teraz słuchaj pan i... potęp mnie lub wzgardź mną, jak się panu spodoba. Potrafiłabym każdą odrobiną mej serdecznej krwi miłować mężczyznę, mogłabym atoli tę miłość w sobie stłumić, gdyby mi nie mógł dostarczyć środków do takiej zemsty, jaką ja sobie wyobrażam! Pan mi ich dostarczyć nie możesz, gdyż swem szlachetnem usposobieniem pozbawiłeś się pan świetnej przyszłości, stanowiska w społeczeństwie, miłości a tem samem i dziedzictwa swego wuja.

— A więc się rozstaniemy...

— Nie, nie, przerwała mu mowę Gabrjela, właśnie pracuję nad urzeczywistnieniem naszych życzeń. Spodziewałam się, że dzisiaj przybędzie także pański wuj. książę, i... nie śmiej się pan, panie Egonie, choć się ja śmieję, przysposobiłam sobie cały arsenał niewieściej słodyczy i kokieterji, aby go osaczyć i podbić tak, iżby się był zgodził na moje najtwardsze warunki. Jakżeż wielce uszczęśliwiała mnie myśl, że go z panem pojednam i zdobędę dla pana dostojeństwa i bo-

gactwa, i to ryzykując, że pan potem o mnie, biednej dziewczynie całkiem zapomnisz. Nigdy mnie jeszcze nie ucieszyła tak bardzo moja jaka taka uroda jak tym razem, kiedy się spodziewałam za jej przyczyną, coś dla pana pozyskać. Niestety! pański wuj nie przybył wskutek słabości. Dlatego też odmieniłam plan i oglądnęłam się za potężnym sprzymierzeńcem. Książę...

— A, książę, przerwał jej mowę z goryczą Egon, to niebezpieczny sprzymierzeniec!

— Niebezpieczniejszym sprzymierzeńcem, rzekła z uśmiechem Gabrjela, jest może jego uniżona służebnica Gabrjela Chaumont. Sądziłam, że gdy stary książę zauważy, że u dworu o jego synowcu z większą pobłażliwością myślą, natenczas dobrowolnie powoła w swe objęcia marnotrawnego syna i spadkobiercę, a bądź pan przekonanym, że jestem już na najlepszej drodze do mego, do naszego celu.

Charakter Egona nie był po temu, aby się zgadzać na podobne plany z ochotnem sercem; atoli w przytomności Gabrjeli pod wpływem jej głosu i urody ani jego uczucie, ani jego usta nie śmiały się jej sprzeciwić, jakżeż tedy mógł się był na to teraz odważyć, gdy mu po raz pierwszy dała do zrozumienia, że go kochała. Nie mógł nic innego uczynić, jak tylko uściskać rękę, którą mu ona podała. Objawiona przez nią chęć pozyskania bogactwa i otoczenia się przepychem, wydawała się mu zupełnie uzasadnioną, co się w jej mowie z jego usposobieniem nie zgądzało, tego nie śmiał potępić. Ona posiadała własny charakter, własną przeszłość, nie mógł więc według własnych prze-

konań ocenić jej życzeń i uczuć, byłoby to tyranią, nieusprawiedliwioną w obec takiej stanowczej, silnej istoty. Pomimo to zamyślił się Egon i nie doznał takiego szczęścia, jakiego się spodziewał dostąpić w razie, gdyby się mu miała Gabrjela okazać tak powolną jak teraz. Pozbył się on atoli tego dręczącego uczucia, gdy się Gabrjela po chwili milczenia ku niemu zwróciła i podając mu rękę rzekła:

— Ale czy się moje plany udadzą, lub nie, czy mi pan zapewnisz książęcy tytuł i skarby, lub nie, proszę mi jedno przyobiecać!

— I cóż takiego? — zapytał rozciekawiony Egon, gotów dobić targu.

— Czy będziemy bogatymi, lub ubogimi, odrzekła piękna Gabrjela, czy się będę mogła pomścić lub nie, mimo to przybędziesz pan na moje wezwanie i powiedziesz mnie do ołtarza i czy piechotą do wiejskiego kościółka, czy szóstką koni w powozie do katedry, to już rzecz obojętna!

Więcej nie było już potrzeba do rozwiązania wszelkich wątpliwości w łatwowiernem sercu Egona. Gabrjela pozwoliła mu jeszcze okryć jej ręce pocałunkami, a potem powstała i rzekła z uśmiechem:

— No, już się dosyć skompromitowałam dla pana w obec gości, i to o tyle, że mi prawie trudno do nich powrócić. „Moje okręty spłonęły!“ Bądź pan zdrów i gotów, wyczekując mego hasła.

Po tych słowach oddaliła się i znikła na skręcie jakby pod wpływem czarodziejstwa.

Skoro rozmarzony Egon powrócił na bal do gości

usłyszał, jak tu i ówdzie mówiono o skradzionych djamentach. Te słowa sprawiły na nim osobliwsze wrażenia, i Gabrjela mówiła mu o klejnotach — a wówczas, kiedy ją niespodzianie zaskoczył w jej pokoju, zdawało się mu, jak gdyby był w widział djamenty. Biedny hrabia doznawał takiego uczucia, jak gdyby z nim duch psotny broił, podsuwając mu myśli, które miały jego samego, Gabrjelę i ich przyszłe szczęście odrzeć z świętości, zbezcześcić. Większe nieszczęście nie mogło już spotkać jego szlachetnej duszy w tej chwili, to też, jak gdyby go były ścigały nędzne, zawistne furje, wybiegł z willi, aby już nie widzieć Gabrjeli, na którą nie był godzien patrzeć.

Koniec tomu pierwszego

